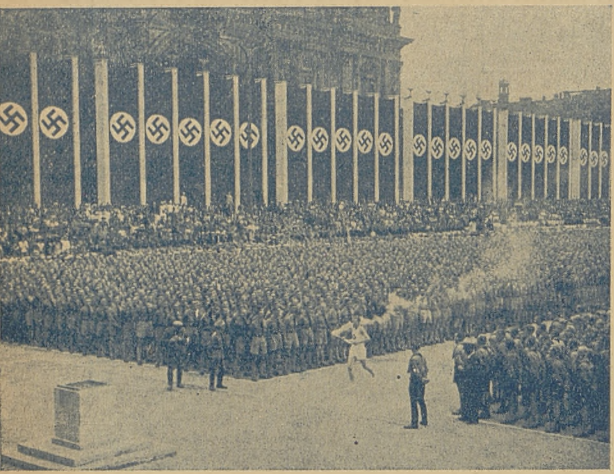
STRZELEC

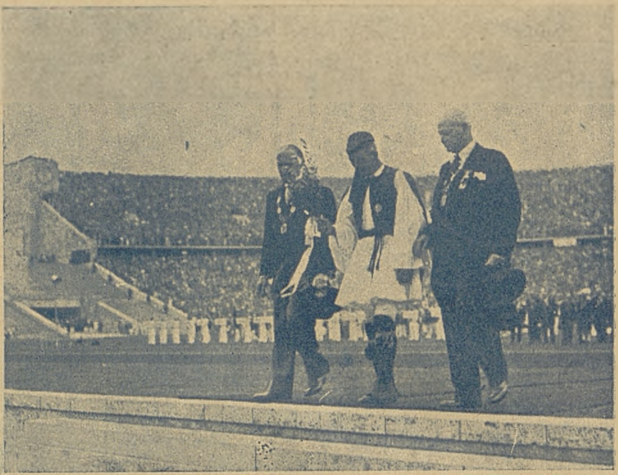
organ związku strzeleckiego



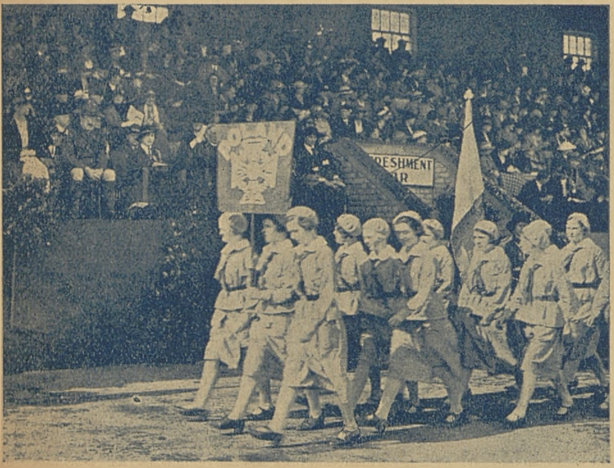
ZE ŚWIATA



Podczas uroczystości święta młodzieży w Lustgartenie w dniu otwarcia Olimpiady zapalony został znicz przez sztafetę olimpijską.



Louis (Grek) zwycięzca pierwszej nowoczesnej Olimpiady udaje się, by wręczyć kancl. Hitlerowi symboliczną gałązkę oliwną.



Defilada harcerek polskich na Zlocie skautek brytyjskich w Doncaster.



Fragment strzeleckich mistrzostw świata w Wannsee pod Berlinem.





Z REWOLUCJI W HISZPANJI.

Przywódca nacjonalistów hiszpańskich prowadzony na śmierć przez rewolucjonistów.

Gwardja cywilna walczy na ulicach Barcelony pod osłoną prowizorycznej barykady.

STRZELEC
TYGODNIK-ORGAN ZWIĄZKU STRZELECKIEGO

ROK XVI 9 SIERPNIA 1936 ROKU Nr. 31

ROZKAZ NA DZIEŃ 6 SIERPNIA

OBYWATELE!

Dzień 6 sierpnia, dzień rocznicy wielkiego przełomu, w dziejach Polski, odmierza lata nowej ery w życiu naszego narodu.

Dzień 6 sierpnia napawa nas poczuciem dumy radosnej przypominając dobitnie, że właśnie pierwszym kadrom Związku Strzeleckiego, przypadło w udziale szczęście bezpośredniego przeżywania najwznioślejszych kart polskiego eposu — triumfu wyzwolenia i dźwigania się Ojczyzny naszej ku mocarstwowej potędze.

Związek Strzelecki, obchodząc corocznie w dniu 6 sierpnia uroczyste święto organizacyjne, stwierdza swą ścisłą łączność z najchlubniejszą tradycją walk o niepodległość i zwycięstwa, którego uosobieniem jest nieśmiertelna postać Józefa Piłsudskiego.

Obywatele Strzelcy, nasze śmiałe i wielkie ambicje obarczają nas równie wielkiemi obowiązkami.

Szczycąc się dziedzictwem idei i wiekopomnych czynów Józefa Piłsudskiego, podejmujemy olbrzymią odpowiedzialność za obecne i przyszłe losy tego świętego dziedzictwa.

Dziś nie idziemy już w mroku, w przyszłość nieznaną. Pod Sztandarem Józefa Piłsudskiego kroczymy pewnie ku naszym celom, po drogach jakie On nam wytyczył.

Wiedzie nas Wódz, Obywatel Generał Śmigły-Rydz, — którego On wyznaczył jako pierwszego Obrońcę Ojczyzny — spadkobiercę hetmańskiej buławy.

W dniu tegorocznego święta Związku Strzeleckiego stwierdzamy uroczyście, że Wola Naczelnego Wodza Obywatela Generała Śmigłego - Rydza jest dla nas strzelców kategorycznym rozkazem.

Hasłem-nakazem, jakie Obywatel Generał Śmigły-Rydz do Związku Strzeleckiego skierował jest „stworzenie z naszego życia potężnej kuźni, wykuwającej dzisiejszego Polaka na modłę potrzeb dzisiejszej chwili i dzisiejszej sytuacji, w jakiej Polska się znajduje".

Obywatele, wzywamy Was do czujności, do wytężonej pracy organizacyjnej i pracy nad sobą. Wzywamy was do wytwarzania w sobie i pomnażania w społeczeństwie takich wartości społecznych i moralnych człowieka i obywatela, ażebyśmy mogli zameldować Obywatelowi Generałowi Śmigłemu-Rydzowi o spełnieniu Jego rozkazu o dochowaniu dziedzictwa Największego Polskiego Imienia.

KOMENDANT GŁÓWNY
Frydrych Marjan ppłk.

PREZES
Paschalski Franciszek

Dr. JÓZEF KORPAŁA

WIEKOPOMNA ROCZNICA 6 SIERPNIA

W dniach najbliższych święcić będziemy na szlaku bojowym Pierwszej Kompanji Kadrowej Józefa Piłsudskiego i we wszystkich oddziałach Związku Strzeleckiego — 22 rocznicę wiekopomnego dnia, w którym Komendant Józef Piłsudski chwycił w swe ręce losy Polski. Dwudziestą drugą rocznicę wymarszu Pierwszej Kompanji Kadrowej pod wodzą ob. „Zbigniewa" gen. Tadeusza Kasprzyckiego, dzisiejszego Ministra Spraw Wojskowych.

Od roku 1922, od chwili pierwszego Zjazdu Legjonistów w Krakowie i pamiętnych uroczystości strzeleckich w obecności Naczelnika Państwa, Marszałka Józefa Piłsudskiego — dzień 6-go sierpnia przez lat dwanaście był nietylko pamiątką Czynu Legjonowego, ale także donioslym momentem w życiu Państwa, gdyż z okazji Zjazdów Legjonowych, z ust Marszałka Józefa Piłsudskiego padały niejednokrotnie doniosłe dla życia państwowego wskazania i oświadczenia.

Od roku 1934, po raz drugi już święcić będziemy ten dzień osamotnieni po stracie nieśmiertelnego Odnowiciela Polski. Tem większego znaczenia nabiera rocznica owego dnia, który — według słów Naczelnego Wodza gen. Śmigłego-Rydza — „jak słup graniczny znaczy granicę dwóch epok dziejów Polski, epoki bez siły i bierności i drugiej, biorącej swój początek od Komendanta i Jego w stosunku do dziejów Polski najbardziej aktywnej i twórczej postawy na przestrzeni długich stuleci".

Dzień 6 sierpnia 1914 roku stał się najbardziej romantyczną kolebką wolności narodu i niepodległości Polski. W życiu i działalności Komendanta Józefa Piłsudskiego, Wodza parotysięcznej kadry żołnierskiej walczącej Polski był to dzień genjalnej decyzji która przesądziła o całej pracy dziejowej narodu i losach sprawy polskiej. Józef Piłsudski wiedział dobrze, jako doświadczony działacz polityczny, że „Polska jako ludzie i jako społeczeństwo dotknięta jest niedomogą woli, nieumiejętnością zdobywania się na czyn i jego organizowania" i dlatego śmiałą decyzją 6 sierpnia postawił naród wobec faktu, który musiał wywołać potężny wstrząs psychiczny i natchnąć młode pokolenie do czynu.



Dla Józefa Piłsudskiego dzień 6-go sierpnia, który zaskoczył nawet politycznych przyjaciół Komendanta, był prostą konsekwencją żołnierskiej zaprawy w Związku Strzeleckim. Dla strzelców, którzy z pieśnią na ustach poszli w bój i w nieznane... był ten dzień „momentem wyrośnięcia ponad dotychczasowego samego siebie, momentem bohaterskim, momentem czynu pierworodnego. Wytknął on linję ich życia po nowej zupełnie kolei, określił ich postawę życiową, a nawet wytknął im nowy zawód". Z tego pamiętnego czynu, którym dla pierwszych żołnierzy Komendanta był wymarsz z Kadrówką, czy też poprostu pójście do Legjonów — zrodziły się następnie czyny tych ludzi, zrodziła się linja zasadnicza całego nieraz życia.

* * *

Od 22 lat święci coraz większa część narodu polskiego rocznicę wymarszu Pierwszej Kompanji Kadrowej. A tymczasem w życie Polski wchodzi młode pokolenie, które rocznicę 6 sierpnia 1914 roku zna już tylko z podręczników historji i prasy lub wspomnień legjonistów. Trzeba, ażeby to właśnie młode pokolenie uświadomiło sobie, że w owym dniu 6 sierpnia dokonał się czyn moralny kolosalnej doniosłości, że w tym dniu naród polski, a przynajmniej jego najlepsza część, rozpoczęła nowe życie, życie w nowym klimacie moralnym, w którym wzrastali ludzie na miarę zadań, o jakich dzisiejsza młodzież słabe ma pojęcie. Mimo gorących dni i niepewności sytuacji w jakiej znajduje się świat w ostatnich miesiącach, nie będzie przesadą jeśli powiemy, że nie znajdujemy się jeszcze obecnie w perspektywie jakiegoś takiego przełomu, jakim był dla strzelców Józefa Piłsudskiego wymarsz w dniu 6 sierpnia 1914 — ale nie bylibyśmy godni tradycji, ani nazwy strzelców, gdybyśmy w rocznicę tego historycznego dnia nie czuli w sobie tej mocy wewnętrznej i siły woli, jaką prężyły się serca pierwszych żołnierzy Komendanta.



Komendant Józef Piłsudski.

"...My obecnie, stojąc w boju, mamy do obrony skarb, któryśmy bezsprzecznie zdobyli. W ciężkich walkach krwawemi ofiarami żołnierze wszystkich Brygad wyrwali nienawistnym losom to, czegośmy nie mieli jeszcze, wychodząc na wojnę — honor żołnierza polskiego, którego bitność i wewnętrzna dyscyplina nie podlega już nigdzie żadnej wątpliwości.

Dopóki stoję na waszem czele, będę bronił do upadłego, nie cofając się przed żadną ofiarą, tego, co jest naszą własnością i co oddać musimy w całości nienaruszonej naszym następcom — naszego honoru żołnierza polskiego. Tego też od was, żołnierze, z całą surowością wymagam. Czy w ogniu na polu bitwy, czy w obcowaniu z otoczeniem oficer i żołnierz ma się zachowywać tak, by w niczem na szwank nie narazić honoru munduru, który nosi, honoru sztandaru, który nas skupia. Ofiary krwawe czy bezkrwawe, gdy trzeba, muszą być w tym celu złożone..."

(Wyjątek z rozkazu z dnia 6 sierpnia 1916 r.).

ST. SMOLEŃSKI

MUZEUM BELWEDERSKIE

Gwarna fala ludzka, płynąca nieprzerwanie Alejami Ujazdowskiemi w Warszawie, milknie i poważnieje u bramy białego pałacyku, ocienionego zielenią potężnych lip i kasztanów.

To Belweder — miejsce pracy i zgonu Marszałka. W murach belwederskiego pałacyku rodziły się plany, które przeobrażały oblicze Polski, powstawały twarde i genjalne decyzje, natychmiastowo i nieodwołalnie wprowadzane w życie.

Dzisiaj, w opustoszałym po śmierci Wodza Belwederze, powstało muzeum. Wszystko pozostało tak jak za życia Wielkiego Człowieka. I dlatego poważnieją twarze ludzi przestępujących progi belwederskiego pałacu, gdy widzą niezmienione otoczenie, w którem przebywał Marszałek.

Z każdego zakątka Belwederu wieje czar wspomnień. Myśli się: na tym fotelu siedział, z tego okna spoglądał wgłąb łazienkowskiego parku...

Pielgrzymki publiczności, ciągnące nieprzerwanym sznurem do Belwederu, zwiedzają dwanaście pokojów pałacowych, związanych ściśle z Marszałkiem.

Wchodzimy do Belwederu. Szczupły przedsionek wypełniają w milczeniu ludzie o twarzach zamyślonych i smutnych. Wszystko jest tak, jak za życia Marszałka. Wejścia na piętro strzegą dwaj rycerze, zakuci w stalowe pancerze. Z prawej strony mały stolik, przy którym urzędował podoficer żandarmerji. Na ścianach piękne, poczerniałe ze starości obrazy.

Idziemy do t. zw. *pierwszej poczekalni*. W małym pokoiku skupiono parę pięknych darów, których tyle ofiarowywano Marszałkowi. Na potężnym pniu pięćsetletniego dębu stoi bronzowa rzeźba kobiety z dzieckiem, dar obywateli ziemi poleskiej. M. in. znajduje się tam ślicznie wykonany model czołgu, ofiarowany przez robotników na pamiątkę poświęcenia pierwszego czołgu zbudowanego w Polsce.

Na stole w następnym pokoju leżą dwie potężne księgi. Wpisywali się do nich za życia ci wszyscy, którzy przybywali złożyć Wodzowi hołd w Belwederze. Ostatnie strony wypełniły kondolencje, złożone w dniach narodowej żałoby.

Na ścianie wisi piękny szkic Matejki, przedstawiający zwycieskiego króla Jana Sobieskiego. Na sekretarzyku stoi popiersie Prezydenta Narutowicza. Pod portretem Napoleona — model polskiej haubicy, dar robotników fabryki broni.

Wewnętrznemi schodkami idziemy do gabinetu Marszałka na I piętro. Tu powstał w sierpniu 1920 r. genjalny plan bitwy warszawskiej. Na skromnem biurku leży szereg drobiazgów. Zegarek Marszałka stoi zatrzymany na godz. 8 m. 45. Kalendarz pokazuje datę 12 maja 1935 r. Nad spokojem czuwa rzeźba legjonisty, dzieło oficera I Brygady Włodzimierza Koniecznego, poległego w bitwie pod Kostiuchnówką. Nad łóżkiem trzy szable, z tych jedna złota — dar polaków z Ameryki.

Obok gabinetu — sypialni znajduje się pokój zwany *balkonowym*. W oszklonej szafie spoczywają komplety dzieł Marszałka.

Schodzimy na dół do pokoju adjutanta przybocznego. Na kanapie lubiał siadywać Marszałek, wydając adjutantowi polecenia. Na ścianie smok-godło I pułku czołgów i ryngraf z Matką Boską wykonany ze starych monet.

W *pokoju przejściowym* szafa z mundurami Marszałka. Obok mundurów galowych — skromna szara kurtka strzelecka i maciejówka. Na półce przybory do golenia używane przez Marszałka.

Obok znajduje się bibljoteka. Dwie oszklone szafy pełne książek w różnych językach i przeróżnej treści. Uwagę zwraca stary, pięknie oprawny tom. To wydana w XVI w. kronika W. Ks. Litwy i Białorusi, ulubiona lektura Mar-



Pokój za pierwszą poczekalnią, skąd prowadzą schody do gabinetu Marszałka.

szałka, którą zabierał z sobą nawet wyjeżdżając na front.

Nad środkową szafą kopja świetnego portretu Marszałka pędzla Krzyżanowskiego. Naprzeciwko wyjątkowo udane popiersie — dłuta Lasinki. Na szafach szereg rzeźb w drzwie ofiarowanych przez uczniów szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem.

Niewielki korytarzyk prowadzi nas do *pokoju stołowego*. Przy owalnym stole stoi fotel, w którym Marszałek zasiadał punktualnie o godz. 15-tej do obiadu. W kredensie — nakrycia na których jadał Marszałek.

Nad portretem córki Marszałka Jadwigi — rozgwiazda i koniki morskie, przysłane z podróży na południe przez śp. Prezydentową Michalinę Mościcką.

Na podręcznej bibljoteczce stoją stare dzbanuszki wschodnie, przywiezione córkom przez Marszałka z Rumunji.

Obok jadalni leży *pokój sypialny*.

Obok prostego łóżka okrytego kapą ludową niewielki stolik. Stał tam obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej, złożony do trumny. Obok fotografji matki, wazonik z żywemi kwiatami. Na okrągłym stoliku książki czytane przez Marszałka w kwietniu 1935 r. Na kilimie nad łóżkiem fotografja najstarszego brata — Bronisława, ryngraf rycerski i sztych Napoleona ofiarowany na imieniny 1913 r.

Na olchowej umywalce leży kopyto ulubionej „kasztanki". Podobizna jej głowy wisi powyżej. Na ręcznikach monogramy „J. P.".

Marszałek wstawał zwykle o godz. 10-ej. Po śniadaniu, składającem się ze szklanki herbaty i bułeczki, i po przejrzeniu gazet, mył się i ubierał w mundur. Po skończonej pracy, nieraz o godz. 4-ej rano Marszałek spożywał trochę owoców i landrynek.

W *salonie zielonym* znajduje się stary portret pradziada Marszałka — Jana Kazimierza Rymszy Giniatowicza Piłsudskiego, porucznika wielkiej buławy hetmana Paca z XVII w. W salonie cenne obrazy i rzeźby.

Przechodzimy do *pokoju narożnego*. Tutaj pracował Marszałek w ostatnich latach. Na stole, przy którym zwykł był siadywać, binokle, pudełko z papierosami i ostatnie książki, które czytał: dzieło Kraszewskiego o Wilnie, wydane w r. 1890, dar Pani Marszałkowej. Podniszczone karty do pasjansa przypominają o ulubionej rozrywce Marszałka.

Pod szkłem znajduje się wielki plan rodzinnego Zułowa z r. 1850. Lubił mu się bardzo Marszałek przypatrywać. Snuł też, wobec najbliższych wspomnienia dzieciństwa.

W miejscu, gdzie obecnie stoi stół ustawione było w czasie śmiertelnej choroby łóżko. Tutaj zmarł Marszałek.

Z pokojem narożnym łączy się kaplica. Panuje tu półmrok. Nad katafalkiem wiszą skrzyżowane sztandary, w rogach stoją urny. Dokoła niezliczona ilość wieńców i szarf, z napisami we wszystkich językach.

Na katafalku stoi urna kryształowa z monogramem „J. P.", w której spoczywało serce Marszałka przed przeniesieniem do Wilna. Naprzeciwko ołtarzyk z szeregiem gromnicznych, niepalonych świec.

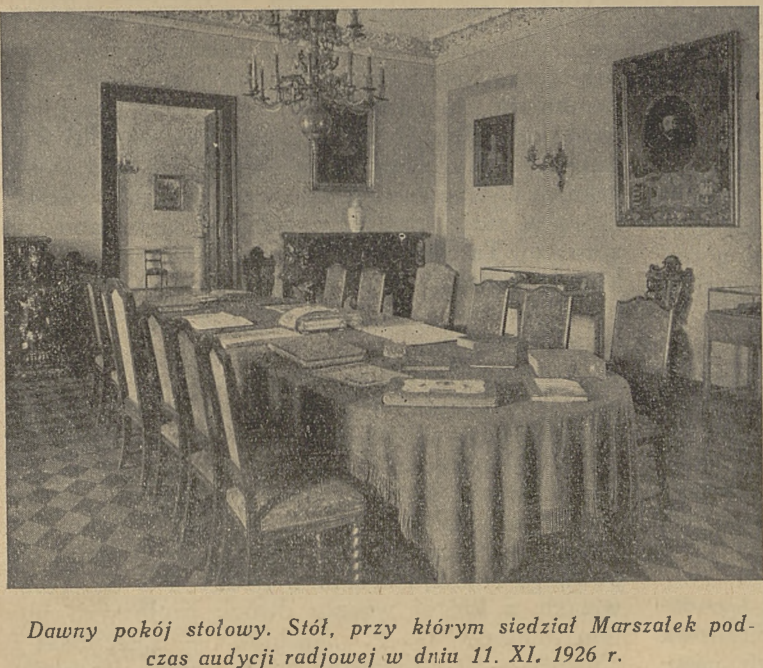
Z *kaplicy* przechodzimy do *starej adjutantury*. Dalej dawny pokój stołowy z r. 1920. Przy długim stole zarzuconym dzisiaj pamiątkowemi albumami, siedział Marszałek w r. 1926, przemawiając raz w życiu do radja. Opowiedział wówczas słynną „bajkę o żabce".

W gablotach pod ścianami pamiątki po wodzach i bohaterach narodowych: Kościuszce, Poniatowskim, Traugucie, oraz zbiory egzotyczne i dokumenty rodzinne.

Ostatni pokój został przerobiony na pomieszczenie zbiorów o charakterze muzealnym. W gablotach leżą niezliczone odznaczenia Marszałka. przegląd orderów wszystkich chyba państw świata. Wśród orderów polskich Virtuti Militari pierwszej klasy i order Białego Orła.

Osobno spoczywa ostatnia szabla i czapka Marszałka oraz buzdygan ofiarowany Mu przez kawalerję.

Zwiedzanie skończone. Wychodzimy do ogrodu belwederskiego. Stare lipy szumią w zadumie o tem, jak było, gdy w ich cieniu przechadzał się Józef Piłsudski...



Dawny pokój stołowy. Stół, przy którym siedział Marszałek podczas audycji radjowej w dniu 11. XI. 1926 r.

Mjr. Dr. STEFAN POMARAŃSKI

W DRODZE KU WOLNOŚCI

(Wspomnienie z przed dwudziestu dwóch lat).

Lato 1914 roku bynajmniej nie zapowiadało wielkiego kataklizmu dziejowego i związanych z nim przemian w życiu narodu polskiego. Mijały tygodnie czerwca, wypełnionego — jak zwykle — egzaminami i niebawem młodzież miała oddać się wywczasom wakacyjnym. Nie wszyscy jednak myśleli z jednakową wesołą beztroską o tegorocznych wakacjach.

W owym czasie wśród naszej młodzieży działały różne organizacje niepodległościowe, a z nich dwie zwłaszcza absorbowały umysły: Związek Walki Czynnej i odpowiednik jego — Związki Strzeleckie, oraz związek Armja Polska i odpowiadające jej Polskie Drużyny Strzeleckie. Nakładały one na sprzysiężoną młodzież ważne obowiązki, które zwiększały się znacznie podczas feryj. Z jednej strony praca oświatowa wśród ludu, a z drugiej organizacyjno - polityczna w duchu niepodległościowym szczególnie wśród młodzieży, która dość licznie garnęła się do istniejącego od paru lat na gruncie warszawskim tajnego skautingu (harcerstwa) lub do bardziej zakonspirowanych obu wspomnianych wyżej organizacyj wojskowych.

Właśnie miesiące letnie tego roku miała wypełnić bardziej intensywna praca spiskowa i to nietylko w normalnych miejscach wywczasów. Na lipiec Związek Strzelecki jak i Polskie Drużyny Strzeleckie przygotowywały w Galicji, gdzie działały jawnie, specjalne kursy instruktorskie dla swych członków głównie z zaborów rosyjskiego i niemieckiego Związek w Krakowie, a Drużyny w Nowym Sączu. Oba te kursy trzeba było bardzo starannie obesłać, aby zdobyć na przyszły rok szkolny nowe wykwalifikowane siły instruktorskie.

Ja od paru lat byłem członkiem Polskich Drużyn Strzeleckich w Okręgu III, warszawskim, na którego czele stał od 1913 roku podchorąży „Bukacki" — Burhardt. W organizacji tej dość szybko postępowałem w hierarchji i w styczniu 1914 r., po ukończeniu kursu instruktorskiego w Rabce, zostałem komendantem 3-ej kompanji w Warszawie, złożonej przeważnie z młodzieży akademickiej oraz starszej szkół średnich. Jednocześnie byłem objazdowym instruktorem, wysyłanym przez komendę okręgu doraźnie na prowincję, a ponadto słuchaczem szkoły oficerskiej, prowadzonej przez samego komendanta okręgu podchorążego Bukackiego, przy udziale innych wykładowców, przybywających nieraz z za kordonu.

Jakoś na krótko przed wakacjami komendantem okręgu został przysłany z Krakowa podchorąży „Wysocki" — Tomaszewski; natomiast podchorąży Bukacki miał jechać do Nowego Sącza jako komendant kursu oficerskiego. Nim to nastąpiło, obaj oni pracowali nad należytem przygotowaniem poważnej grupy kandydatów na kurs. Trzeba było ustalić listy zgłoszeń z różnych środowisk organizacyjnych, a ponadto zapewnić i przygotować przeprawy kilkudziesięciu ludzi przez granicę. W tym celu w czerwcu zaraz po egzaminach maturalnych zostałem wysłany do Ojcowa, przez który wiódł jeden ze szlaków transportowych bibuły organizacyjnej, i tam miałem porozumieć się z naszym członkiem Franciszkiem Wielgutem, aby wspólnie z nim ułożyć plan działania. Uprzedzony listownie Wielgut czekał już na mnie w schronisku Towarzystwa Krajoznawczego. Zapoznał on mnie z naszym przemytnikiem, a następnie odbyliśmy razem wycieczkę w okolice nadgraniczne, aby oswoić się z terenem oraz z drogą dojścia ku granicy. Po owym wywiadzie ustaliliśmy miejsce zbiórki dla kandydatów na kurs w stodole u jednego z zaufanych gospodarzy ojcowskich w sąsiedztwie schroniska. Mieli się oni pojedyńczo lub małemi grupami zjechać z różnych stron kraju w ciągu 12 i 13 lipca i wieczorem 13-go wyruszyć ku granicy.

Po dwóch dniach pobytu w Ojcowie, który znałem już dawniej z wycieczki rowerowej, jaką wykonałem 2 lata przedtem, wróciłem do Warszawy zorjentowany należycie. Zdałem raport podchorążemu Wysockiemu, który nie ukrywał swego zadowolenia z rezultatów mojej ekspedycji. Po kilku dniach wezwał mnie komendant okręgu do siebie i zakomunikował, że ostateczna lista kandydatów na kurs została już zamknięta, że przez „moją" granicę przejdzie około czterdziestu ludzi, oraz że na wszelki wypadek w dniu przeprawy odbędą się nad samą granicą ćwiczenia polowe Drużyny Krakowskiej, która w razie potrzeby udzieli nam pomocy zbrojnej. Ta ostatnia wiadomość zwłaszcza przekonała mnie, iż całe przedsięwzięcie musi być niebezpieczne i że może się ono skończyć nielada awanturą.

Wśród przygotowań i licznych ćwiczeń polowych, jakie zostały urządzone w Warszawie i jej okolicy, zbliżał się dzień wyznaczony. Na kilka dni przedtem zostałem jeszcze wysłany na inspekcję Drużyny Skierniewickiej, która miała dać większą ilość kursistów. Miałem dokonać ostatecznego ich wyboru i przeprowadzić pewnego rodzaju egzamin. Drużyna w Skierniewicach, z której wyszło dwóch czołowych potem oficerów W. P. „Narbutt" — Łuczyński i „Młot" — Fijałkowski, miała dobrą tradycję.

Komendant jej podoficer Pawłowski, był człowiekiem dzielnym i przedsiębiorczym, to też organizacja robiła jaknajlepsze wrażenie; miała na kurs dać 10 drużyniaków. Wreszcie nadszedł dzień oznaczony.

Wyruszyłem z Warszawy pociągiem nocnym z 11 na 12 lipca. Odrazu zauważyłem na stacji kilku znajomych drużyniaków, którzy usadowili się w sąsiednich wagonach. Wiozłem ze sobą prócz raportu podch. Wysockiego listę kandydatów na kurs, którzy mieli się zjechać w Ojcowie i przebyć razem ze mną granicę. Do bocznej kieszeni schowałem rewolwer, którego w razie niebezpieczeństwa wsypy miałem użyć. Wczesnym rankiem przybyłem do Olkusza, gdzie wysiadło kilkunastu drużyniaków, i razem piechotą udaliśmy się do Ojcowa, udając wycieczkę krajoznawczą, na prowadzenie której miałem zezwolenie od prezesa Towarzystwa Krajoznawczego, często nam pomagającego w ten sposób, Aleksandra Janowskiego. Na miejscu stanęliśmy już po obiedzie. Udałem się zaraz po złożeniu rzeczy w Schronisku do owej umówionej stodoły, gdzie rozgościli się moi towarzysze i gdzie było już kilku nieznanych mi jeszcze osobiście drużyniaków. Wypoczywali na słomie, oczekując niecierpliwie godziny wymarszu, który wszakże miał nastąpić dopiero nazajutrz. Pozwoliłem im w grupach po paru wyjść trochę na malowniczą dolinę Prądnika, lecz o zmroku wszyscy już byli spowrotem, ażeby zebrać siły na jutrzejszą przeprawę. W ciągu dnia 13-go przybyło jeszcze kilkunastu, m. in. kol. Pawłowski przyprowadził 8 drużyniaków ze Skierniewic. Wreszcie około 5-ej po południu byliśmy w komplecie. Podzieliłem całe grono trzydziestu kilku na drobniejsze grupy, wyznaczyłem starszych i udałem się z nimi do wąwozu za Bramę Krakowską, dokąd mieli niebawem przyprowadzić swe grupy. Znajomy mój przewodnik czekał wraz z drugim za kępą świerków. Uderzył mnie strój „ludowy" z wyrzuconemi nazewnątrz barwnemi skarpetami, przewiązanemi rzemykami obuwia. Wkrótce byliśmy wszyscy na miejscu.

Panowało wśród nas uroczyste podniecenie. Zdawaliśmy sobie dobrze sprawę z doniosłości przeżycia, jakie nas czekało. W ostatniej niemal chwili dołączyli się do nas dwaj uczniowie — skauci, jak się okazało członkowie nasi z Kielc, którzy w tę stronę przybyli na wycieczkę. Była już szarówka, kiedy przewodnik dał znak, że już czas. Ustawiłem wszystkich w dwuszeregu, krótko przemówiłem wzruszony do niemniej wzruszonych drużyniaków. Już mieliśmy ruszyć, kiedy z za krzaków wyszedł jakiś ksiądz. Widocznie obserwował nas i słyszał moje słowa, bo zdjąwszy kapelusz znakiem krzyża błogosławił, odmawiając półgłosem modlitwę. Za chwilę grupa nasza wydłużyła się gęsiego, podążając śladem przewodników i wkrótce zaszyła się w ogarnięte mrokiem zarośla.

Szliśmy tak w głębokiem milczeniu dość długo. W pewnym momencie przewodnicy nas zatrzymali, a jeden z nich poszedł naprzód. Byliśmy już nad samą granicą i zaledwie kilkadziesiąt kroków dzieliło nas od niej. Po jakimś kwadransie przewodnik wrócił. Mamy jeszcze pewien czas leżeć tak w największej ciszy, bowiem zbliżała się godzina „rontu" oficerskiego. Wkrótce usłyszeliśmy głosy i człapanie patrolu, sprawdzającego posterunki graniczne. Niebawem ruszymy, biegiem „jednym skokiem" przebędziemy granicę i znajdziemy się w naszej „ziemi obiecanej", w Galicji, gdzie mieli nas oczekiwać drużyniacy z Krakowa.



Brygadjer Piłsudski przed swą ziemianką w Koszycach w 1915 r.

Leżeliśmy niedługo, lecz niepokój i niecierpliwość nasza wydłużała znacznie oczekiwanie. Wtem przewodnicy się podnieśli. Wstaliśmy i my i za chwilę biegliśmy, co tchu w piersiach. Po drodze przeskoczyliśmy po kładce przez jakiś strumyk, ten i ów wpadł z pluskiem do wody, lecz biegł dalej i... za chwilę byliśmy za kordonem. Doznałem wielkiej ulgi. Jakby wyzwolenia z niezmiernie ciężkiego snu. Jeden z przewodników doprowadził nas jeszcze do drogi, wiodącej ku wsi, poczem pożegnał się i wrócił zpowrotem.

Ruszyliśmy czwórkami, zmierzając ku widniejącej zdala wsi, nie napotykając nikogo. Już zacząłem się niepokoić, że błądzimy, kiedy na-

gle z nieznacznej odległości wyłoniła się sylwetka żołnierza z karabinem i nałożonym nań bagnetem. Padło krótkie, przytłumionym głosem zapytanie:

— Stój — kto idzie?!

Poznałem strzelca. Rzuciłem się naprzód, wołając:

— Swoi! — Drużyniacy z Warszawy!

Radość zapanowała wśród naszej gromadki. Za chwilę podszedł do nas wraz z paru strzelcami oficer. Z szablą u boku. Był to podchorąży „Grudziński" — Pększyc zwany popularnie „Przyczajem", któremu zameldowałem się służbowo. Pytał o szczegóły przeprawy, które z ożywieniem opowiedziałem.

Zaczęło już świtać. W półmroku orjentowałem się powoli. Byliśmy przy kępie drzew na skraju wsi. Wkrótce z różnych stron ściągnęły w to miejsce, gdzieśmy się zatrzymali, mniejsze i większe grupy uzbrojonych strzelców. Jak się okazało, byli oni rozrzuceni na znacznej przestrzeń wzdłuż granicy, oczekując nas z niemniejszą niecierpliwością, niż my podążaliśmy ku nim. Za chwilę witałem się z kilku znanymi mi dobrze drużyniakami: podchorążym „Bończą" — Karwackim, studjującym rolnictwo w Krakowie, Januszem „Kurasem" — Gładykiem, podoficerem swym z Warszawy, który w przeddzień przebył granicę za „półpaskiem", oraz dwoma kolegami szkolnymi Geńkiem Czaykowskim, który od roku przebywał w Krakowie, gdzie na Uniwersytecie studjował medycynę, i Tadkiem Grabińskim, również przebywającym w Galicji, gdzie zdobywał maturę, której z powodu „wsypy" w Warszawie nie mógł uzyskać. Poznałem też wtedy paru miłych kolegów, z którymi potem przeżyłem wiele lat w jednej służbie, a przedewszystkiem smukłego, o gorących oczach Zygmunta „Żarskiego" — Radońskiego i młodzieniaszka jeszcze Lojzka „Nowowiejskiego" — Glutha.

Podchorąży Grudziński, którego wtedy widziałem poraz pierwszy, przeprowadzał z rozkazu Komendy Okręgu Krakowskiego nocne ćwiczenia w rejonie naszej przeprawy. Strzelcy, uzbrojeni w karabiny, mieli prócz ćwiczebnych naboi również amunicję ostrą w ładownicach. Na szczęście pomoc zbrojna okazała się zbyteczna i do walki, do której się gotowali, jeszcze tym razem nie doszło.

Po dłuższym odpoczynku, w czasie którego nie było końca rozmowom i opowiadaniom, podchorąży Grudziński zarządził zbiórkę. Zebrałem swoją gromadkę i na jego rozkaz stanąłem naprzeciwko w dwuszeregu.

— Koledzy! — zwrócił się do nas — witamy was, towarzysze z pod zaboru moskiewskiego, w imieniu drużyniaków krakowskich. Ażeby uczcić tę chwilę zaśpiewajmy nasz hymn narodowy. Baczność! Czapki zdejm!

I wśród ciszy świtu zabrzmiał „mazurek Dąbrowskiego", biegnąc po rosie, ku stronom z jakich żeśmy przyszli, jakby na urągowisko tym, których wyprowadziliśmy przed godziną „w pole". Za chwilę ruszyliśmy w kolumnie czwórkowej ku Krakowowi. Pierwsze czwórki stanowiliśmy my, „cywilbanda" z tłomoczkami i walizkami, za nami postępowały uzbrojone czwórki umundurowanych strzelców. Widzieliśmy na jawie i czuliśmy obok siebie wojsko polskie, którego w tej chwili stawaliśmy się cząstką. Po pewnym czasie podch. Grudziński pozwolił nam śpiewać. Zaczęliśmy od pieśni powstańczej „Hej strzelcy wraz! Nad nami Orzeł Biały, a przeciw nam śmiertelny stoi wróg. Wnet z naszych strzelb piorunne zagrzmią strzały. Śmierć naszym hasłem, naszym świadkiem Bóg..."

Po paru godzinach marszu zobaczyliśmy

Pierwsza Brygada Legjonów w drodze z nad Nidy pod Konary.



w poświacie porannego słońca cel naszej wyprawy — Kraków, do którego wkroczyliśmy z radosną pieśnią na ustach. Publiczność wczesnego ranka przyglądała nam się z ciekawością, witając przyjaznym uśmiechem. Około 7-ej stanęliśmy na dziedzińcu Komendy Drużyny Krakowskiej na ulicy Dolne Młyny Nr. 9. Powitali nas tutaj krakowscy i nasi, wcześniej koleją za paszportami i „półpaskami" przybyli koledzy. Między nimi byli już Leon „Kirkor" — Bąkowski, Stefan „Lidzki" — Śledziński, Olek „Sam" — Sygryc i inni moi żołnierze. A w ciągu dnia przyszli, jak się okazało, prawie naszym śladem też przez Ojców podoficer mojej kompanji Stefan „Radecki" — Rowecki, wraz z drużyniakiem z Piotrkowa Leonem Strzeleckim.

W ciągu dnia umundurowano nas, wyekwipowano w rynsztunek polowy i uzbrojono, czekając na tych, którzy innemi drogami jeszcze mieli przybyć i stopniowo przybywali. Niepokoiłem się trochę o los brata, który z kolegami Olkiem Nowakiem i Mietkiem Stefańskim udał się drogą przez Zamość i Biłgoraj, gdzie miał się przeprawić z tamtejszymi drużyniakami przez majątek nadgraniczny członka naszego „Korczaka" — Dąbkowskiego. Jakoś nie było ich widać mimo, że powinni byli już stanąć na miejscu. Jak się okazało, przeszli oni granicę szczęśliwie, lecz w Przeworsku zostali na stacji zatrzymani przez żandarmów austrjackich, którzy dopiero po interwencji Komendy Drużyn pozwolili im udać się w dalszą drogę do Krakowa.

Cały dzień ten spędziliśmy na Dolnych Młynach na odpoczynku. Po południu pozwolono nam wyjść na miasto. Pierwsze kroki skierowałem na Wawel, by w Katedrze u grobów naszych królów i bohaterów podziękować Bogu za dotychczasową pomyślność. Późnym wieczorem dopiero wyruszyliśmy w sile dużej kompanji, w pełnem wyekwipowaniu polowem na dworzec kolejowy, odprowadzeni przez drużyniaków krakowskich. Szliśmy na „odtrąbiono", a więc swobodnie, lecz twardym krokiem, dumnie podnosząc głowy, że oto i my — „spiskowcy z Królestwa" — jesteśmy pełnoprawnymi członkami wielkiej rodziny żołnierskiej, gotującej się do walki zbrojnej o niepodległość. Obok mojej czwórki szedł kolega Orlot i kulejący Nałęcz-Korzeniowski, który swemi kapitalnemi dowcipami szczerze nas rozweselał. Załadowani do dwóch wagonów, rano stanęliśmy w Nowym Sączu, gdzie zaczęliśmy nowy żołnierski żywot. Nie spodziewaliśmy się jeszcze, że mundurów tych nie zdejmiemy już przez długie, długie lata.

Kurs zaczął się nazajutrz, Komendantem jego został znany mi z poprzedniego kursu w Rabce podchorąży Zawisza, cieszący się ogólną sympatją, wspaniałej prezencji oficer. Obok niego witał nas „Rokita" Maksymowicz-Raczyński, którego również poznałem w Rabce, a który



Ppłk. E. Rydz-Śmigły (pierwszy z lewej), mjr. Berbecki (w głębi) i ob. Szef — Sosnkowski, w okopach 4 pułku.

— jak sam z humorem mówił — zajmował się „napychaniem sienników", czyli był w okresie przygotowawczym kwatermistrzem kursu. Pierwszy dzień przeznaczono na organizację kursu. Utworzono z przeszło dwustu uczestników cztery kompanje po 50—60 strzelców każda. Dowództwo ich objęli oficerowie 1-ej Rokita, 2-ej Grudziński, 3-ej Narbutt, 4-ej Bukacki. Ja zostałem komendantem plutonu samych Poznaniaków w kompanji Narbutta.

Odtąd przez dwa tygodnie spędziliśmy czas na ćwiczeniach polowych oraz nauce teoretycznej, bowiem po południu odbywały się przeważnie wykłady lub specjalne w innych grupach ćwiczenia na trzech kursach: żołnierskim, podoficerskim i oficerskim. Kierownikiem kursu oficerskiego, do którego i ja zostałem zaliczony, był podchorąży Zawisza podoficerskiego Grudziński, żołnierskiego Bukacki. Mijał dzień za dniem. Zaprawialiśmy się w rzemiośle wojennem z zapałem, snując plany organizacyjne na najbliższą przyszłość. Nawet w najśmielszych przewidywaniach nie przypuszczaliśmy, że już wkrótce będziemy prawdziwymi żołnierzami polskimi, toczącymi prawdziwą wojnę z potęż-

ną Rosją. Wprawdzie marzyliśmy o tem, no i bardzo intensywnie przygotowywaliśmy się, ale nikt nie przenikał zasłony, kryjącej nieznaną przyszłość.

Ćwiczyliśmy w najlepsze po lasach, wzgórzach i wąwozach pięknych okolic nowosądeckich, gdy zaszły wypadki, zwiastujące jakąś zawieruchę, a przedewszystkiem zabójstwo w Serajewie arcyksięcia Ferdynanda, następcy tronu austrjackiego. Wreszcie padł grom! Wojna serbsko - austrjacka zapowiada konflikt austrjacko - rosyjski. Obserwujemy mobilizację pierwszych roczników rezerwy, niepewni jeszcze istotnej wagi wydarzeń, świadomi jednak całej niezwykłości nowych sytuacyj i nowych możliwości. Żegnamy kilku kolegów poddanych austrjackich, którzy ogarnięci mobilizacją musieli stawić się w swych pułkach. Odjeżdżają Zawisza, Grudziński, Olszyna, Rokita.

Do widzenia w wojsku polskiem — wołamy.

Do widzenia — odpowiadają, a żal wyciska im łzy z oczu, że oto opuszczają nas w chwili tak doniosłej. Przyszłość okazała, że nie na długo, bowiem istotnie wkrótce spotkaliśmy się w oddziałach regularnego wojska polskiego, do którego zbiegli potajemnie z wojska austrjackiego.

Tymczasem w naszem życiu organizacyjnem zapadają w ostatnich dniach lipca niezmiernie doniosłe decyzje. Polskie Drużyny Strzeleckie łączą się ze Związkami Strzeleckiemi, a na czele obu organizacyj staje Józef Piłsudski, dotychczasowy Komendant Główny Związków. Niepodległościowy obóz walki czynnej, reprezentujący dążenia powstańcze, ostatecznie konsoliduje się i na arenę wypadków wstępuje krokiem zdecydowanym. 28 lipca miejsce odwołanego do Krakowa Zawiszy zajął podchorąży „Warski" — Herburt i tegoż dnia ogłoszono na kursie pogotowie mobilizacyjne oraz wprowadzono regulamin bojowy. Pierwszymi podoficerami inspekcyjnymi w nowych warunkach zostali moi podkomendni z Warszawy „Burłat" — Szerada i żołnierz „Bojanek" — Stefański. A kilkunastu kursistów wyjeżdża pospiesznie na rozkaz Komendy Naczelnej do swych środowisk organizacyjnych przygotowywać mobilizację.

W parę dni przed wybuchem wojny austrjacko-rosyjskiej Józef Piłsudski ogłasza mobilizację strzelecką do Krakowa. Na skutek tego kurs nasz zostaje 1 sierpnia przerwany. Jednak dzień mija normalnie na pracy. Po południu, wracając z ćwiczeń, spotykamy oddział wojska austrjackiego z orkiestrą, który nas pierwszy pozdrawia ukłonem wojskowym. Przed wieczorem tego dnia nagle zaalarmowano nas. Zrywamy się, pakujemy i w kilka minut stajemy w ordynku na dziedzińcu. Pada rozkaz: „Czwórki w prawo zwrot", i za chwilę maszerujemy na rynek, by zamanifestować radość spowodu tego połączenia oraz pożegnać się z gościnnym Nowym Sączem.

Śpiewamy piękny hymn drużyniacki: „Naprzód drużyno Strzelcka. Sztandar do góry swój wznieś! Żadna nas siła zdradziecka nie zdoła ni zgnębić, ni zgnieść..." Mocne, pełne treści słowa, ułożone przez natchnionego naszego poetę drużyniaka Stanisława Długosza, rozbrzmiewają gromkiem echem po schludnych uliczkach miasta. Wiara, że „Polska powstanie, by żyć", rozsadza nasze piersi. W zapale nie czujemy zmęczenia.

Stajemy wreszcie w czworoboku na rynku. Dookoła gromadzą się tłumy publiczności. Na jakąś prowizoryczną mównicę wchodzi kolega nasz „Wilk" — Makowski i wygłasza płomienne przemówienie, które elektryzuje nie tylko nas ale i otaczające tłumy:

— Wojna!... wojna! straszne to słowo wpada do domów, budząc strach i rozpacz u wielu ludzi! Dla nas jednych słowo: wojna! niesie pioruny, co mają spalić nasz dom niewoli! — woła natchniony mówca. — Rozpoczyna się Wojna Ludów, o którą błagali Boga nasi ojco-



U wejścia do ziemianki.

wie, której i my oczekiwaliśmy z niecierpliwością. Koledzy! nieraz przypadając twarzą ku ziemi przesiąkniętej krwią, słyszeliśmy gwar bitewny i ciche szepty tych, co szli przed nami na śmierć. Budził ich głos naszej trąbki, budziły ich odgłosy naszych miarowych kroków. Kiedy nieraz na ćwiczeniach przypadaliśmy piersią do naszej polskiej ziemi, czuliśmy jak tchnęła ona w nas mocą niezwykłą. Dziś dojrzeliśmy jak pełne kłosy, i czas żniw naszych się zbliża. Prężcie ramiona, prostujcie grzbiety na znój, na trud w upalny dzień wolny! Ogłaszamy wojnę przeciwko Rosji! Rozpoczynamy śmiertelną walkę o wolność, o niepodległość, wznosimy dumny sztandar Orła Białego i idziemy z pieśnią wolnych ku zmartwychwstaniu! Niech się święci Wojna Ludów! Na pohybel wszystkim grabieżcom, zaborcom naszej Ojczyzny!..."

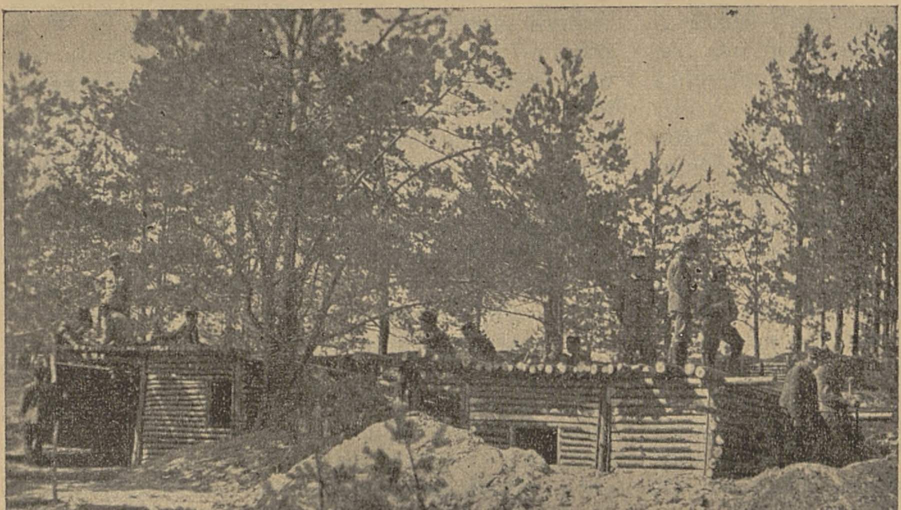
Nazajutrz wczesnym rankiem podążyliśmy na dworzec, gdzie załadowano nas do paru towarowych wagonów długiego pociągu, zapełnionego spieszącymi na mobilizację rezerwistami. Tłumy nowosądeczan żegnają nas z żalem i serdecznie. Pociąg rusza, śpiewamy „Jeszcze Polska nie zginęła". W kilka godzin potem znaleźliśmy się w podwawelskim grodzie. Świadomość, że i nas — strzelców — czeka wojna, przenika nasze umysły. Lecz w jakiej postaci się przejawi, jakiemi drogami pójdą nasze losy, to wszystko stanowiło niewyczerpane źródło domysłów, przewidywań hipotez. Odczytano nam tu rozkaz Komendanta Naczelnego Drużyn „Żegoty" — Januszajtisa, który potwierdzał wiadomość o połączeniu ze Strzelcem i wyjaśnił sytuację:

„Żołnierze! Wypadki polityczne poszły niezmiernie szybkiem tempem. W chwili obecnej musi nastąpić bezwzględnie zespolenie sił politycznych i militarnych w społeczeństwie polskiem. W momencie tak ważnym musimy stanąć pod bronią wszyscy — jako jedna organizacja wojskowa. Niema czasu na stracenie. Komenda Naczelna Polskich Drużyn Strzeleckich, dając wyraz temu zdrowemu i jedynemu w chwili obecnej dążeniu, poddała organizację P. D. S. Komendzie Głównej, wyłonionej z Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych. Gdy lada chwila na ziemiach polskich zmierzą się dwie wrogie armje: austrjacka i rosyjska — dla żołnierza polskiego powstaje jedna droga — jednolite zgodne wystąpienie pod rozkazami Komendy Głównej".

Wszyscy kursiści, przeważnie Królewiacy — rozmieściliśmy się biwakiem w zakamarkach i na dziedzińcu Komendy Drużyny Krakowskiej na Dolnych Młynach. Oczekiwaliśmy z niepokojem z niecierpliwością wiadomości i rozkazów. Przeważała opinja, że najprawdopodobniej zostaniemy rozesłani do środowisk organizacyjnych, aby przeprowadzić ich mobilizację.

Wtedy właśnie poraz pierwszy ujrzeliśmy Józefa Piłsudskiego, nowego naszego Komendanta Głównego. W godzinach popołudniowych tegoż 2-go sierpnia przybył na Dolne Młyny w towarzystwie swego Szefa Sztabu Kazimierza Sosnkowskiego, aby oficjalnie objąć nad nami zwierzchnictwo i dokonać inspekcji Komendy. Poruszyło to nas niezwykle; każdy chciał zobaczyć tego legendarnego Wodza tworzącego się Wojska Polskiego. Komendant przeszedł koło nas — wyprężonych na „baczność", uśmiechając się życzliwie z widoczną sympatją wszedł do kancelarji Komendy. Za chwilę wezwano tam nas kilku sprawujących funkcje oficerskie na kursie. W pokoju był już Norwid, Ulrych, Bukacki, Narbutt, Nałęcz-Korzeniowski i kilku nieznanych mi jeszcze oficerów. Do zebranych nas kilkunastu przemówił Komendant krótko w te słowa:

— *Obejmuję nad wami komendę. Wymagać będę od was dwóch rzeczy: Wiary we mnie, zaufania we mnie, bezwzględnego zaufania do mnie* (powtórzy z akcentem); *i drugiej rzeczy: spokoju, absolutnego żołnierskiego spokoju, obyście byli opa-*



Budowa ziemianek na pozycjach I bataljonu 4 p. p. pod Optową.

nowani do końca, gdy wieźć was będę ciężkiemi drogami do niepodległości...."

Słowa te wywarły głębokie wrażenie. Utwierdziły nas one w przeczuciach, że zbliżają się chwile przełomowe, których powodzenie zależyć będzie od naszej postawy wewnętrznej, od naszego instynktu żołnierskiego.

Komendant Piłsudski, oprowadzony przez podchorążego „Norwida" — Neugebauera, wtedy już strzeleckiego komendanta miasta Krakowa, obejrzał nasze „obozowisko" i odjechał, pozostawiając nas w niespokojnej ciekawości, co to będzie. Nie wszyscy wiedzieliśmy, że nastąpiły już najważniejsze decyzje, że za granicą rosyjską znajdował się już patrol konny Beliny, dokonywający wywiadu terenu, na którym i my za parę dni się znajdziemy.

Tegoż dnia jeszcze sam Norwid dokonywał apelu wszystkich kursistów zbierając o każdym różne informacje. A nazajutrz 3-go sierpnia wybrał nas 75-ciu, tworząc oddział, nad którym komendę powierzył podchorążemu Bukackiemu. Z zazdrością patrzyli na nas koledzy, którzy nie zostali wybrani. Nie pomogły prośby niektórych. „Lech" — Kolebiński i „Kuras" — Gaładyk szukali napróżno sposobów, aby nie zostać pominiętymi. Mieli wszakże już inne przeznaczenie, którego nic zmienić nie zdołało. Nie było końca domysłom, co nas czeka? Wreszcie po obiedzie Bukacki zarządził zbiórkę oddziału, sprawdził starannie ekwipunek, polecając rzeczy prywatne, pozaszywać w dostarczone worki.

Wreszcie wydano nam broń, same „manlichery", po przeszło 100 ładunków i... nakazano pogotowie. Wtem około godziny 5-ej wyszedł do nas podchorąży Norwid, odebrał raport od naszego komendanta Bukackiego i wygłosił następujące słowa, które całkowicie wyjaśniły nam sytuację:

— „Żołnierze! Idziecie pierwsi mścić krzywdy ojców waszych. Pamiętajcie, że macie dać przykład tym, którzy pójdą za wami! —"

Żegnaliśmy się z tymi, którzy narazie zostawali. Pamiętam smutek Karola Rybasiewicza, który miał wracać do Warszawy, aby zawieźć doniosłe rozkazy i przeprowadzić połączenie tamtejszej Drużyny ze Związkiem.

Za chwilę bocznemi ulicami Krakowa szedł nasz oddział ku ogrodowi powystawowemu t. zw. „Oleandrom", gdzie odbywał się jednocześnie z naszym kurs instruktorski Związków Strzeleckich. Tam miał się stać fakt niezwykłej wagi, ostateczne połączenie we wspólnym czynie dwóch równorzędnych, a dotąd nieraz współzawodniczących ze sobą organizacyj.

Mjr. Dypl. ROMAN STARZYŃSKI

W PRZEDEDNIU 6 SIERPNIA

Poniżej podajemy wyjątek z książki Romana Starzyńskiego p. t. „Cztery lata wojny w służbie Komendanta", która ukaże się jesienią r. b. nakładem Inst. Badania Najnowszej Hist. Pol. (Redakcja).

Było to, o ile sobie przypominam, 3 listopada 1911 r. Po południu poszedłem ze Stojanem Stefanowskim do lokalu „Strzelca", mieszczącego się wówczas przy ul. Łobzowskiej. Sala, do której wszedłem, zrobiła na mnie wrażenie sali gimnastycznej, ale zamiast przyrządów gimnastycznych pod ścianami ustawione były stojaki na karabiny z bronią różnych systemów. Wiedziałem już, że komendantem Okręgu Krakowskiego jest obywatel Bohdan (Aleksander Prystor), a jego zastępcą natomiast kolega nasz z „Promienia" i sekcji P.P.S. obywatel Wicz (Juljan Stachiewicz), niedawno przybyły ze Lwowa.

Po chwili oczekiwania wezwano nas do sąsiedniego pokoju. Pokój miał przysłonięte okna i było w nim prawie zupełnie ciemno. Jedynie blask dwóch zapalonych świec, stojących na stole, przykrytym suknem, rozpraszał ciemności. Za stołem siedział Wicz, który w kilku słowach formalnie poinformował nas o zadaniach Związku Walki Czynnej. Zaznaczył, że powinniśmy się dobrze zastanowić nim przystąpimy do Z. W. C. gdyż po złożeniu przyrzeczenia — odwrotu niema. Będziemy składać uroczyste przyrzeczenie, że stawimy się na każde żądanie, kiedy nas rozkaz do walki powoła. Z. W. C. jest organizacją ściśle wojskową, bezpartyjną, ale podlega kierownictwu politycznemu, którem w roku 1911 był jeszcze Centralny Komitet Robotniczy Polskiej Partji Socjalistycznej, zastąpiony w rok później przez Komisję Tymczasową Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych.

Po tych wyjaśnieniach, kiedyśmy oświadczyli mocne postanowienie wytrwania w przyjętych na siebie obowiązkach, obywatel Wicz odczytał nam deklarację ideową Z. W. C. i odebrał od nas uroczyste przyrzeczenie posłuszeństwa, potwierdzone uściśnieniem dłoni. Polecono nam wybrać sobie pseudonimy. Stojan pierwszy wybrał sobie pseudonim „Litwin", a ja za jego przykładem zostałem „Mazurem".

Wcielono nas obu do sekcji obywatela Ignacego (Kordjana Zamorskiego) plutonu ob. Sawy (Stanisława Machowicza). Oddział Krakowski „Strzelca" składał się wówczas z 2 pluto-

nów po 4 sekcje, złożone z 8 strzelców każda. Pierwszym plutonem dowodził ob. Kazimierz (Czesław Jarnuszkiewicz), drugim — Sawa. Zebrania na musztrę i wykłady odbywały się dwa razy w tygodniu, w soboty były ćwiczenia w strzelaniu na strzelnicy wojskowej na Woli Justowskiej. W niedzielę odbywały się ćwiczenia polowe, w okolicach Krakowa. W naszej sekcji było nas czterech członków „Promienia" prócz dwóch nas, jeszcze dwaj koledzy Galicjanie z Rzeszowa: Antoni Brzęk i Jan Kłeczek. Pozatem było czterech innych obywateli, których dotąd nie znałem. Wśród nich był obywatel Ludomir (Wacław Rowiński), który, niestety, później okazał się szpiegiem ochrany rosyjskiej.

Pierwsze ćwiczenia, w których brałem udział odbyły się na Krzeminkach pod Kopcem Krakusa w Podgórzu. Wybrałem się na nie, jak na prawdziwego „cywila" przystało w... meloniku i w kaloszach. Kalosze więzły mi w glinie podczas musztry, a koledzy mieli z tego powodu uciechę. Co do mnie to nabrałem odtąd takiego wstrętu do kaloszy, że do dziś ich nie noszę i nigdy nie używam.

Ja w „Promieniu" byłem jednym z czołowych „działaczy", w „Strzelcu", jednak czułem się niesłychanie małym, niedoświadczonym rekrutem, niemającym elementarnego pojęcia o „rzemiośle" wojskowem. Wiele wody musiało w Wiśle upłynąć, zanim z zakamieniałego „cywila" i „polity" stałem się wkońcu żołnierzem.

„Strzelec" był wówczas jeszcze nieliczny. Było nas coś w obu plutonach 60-ciu. I pluton obywatela Kazimierza był bardziej zaawansowany, nasz II pluton składał się przeważnie z takich, jak ja, rekrutów. Praca wojskowa, która spoczątku wydawała mi się ciężkim obowiązkiem, powoli zaczęła mię pociągać. Spoczątku dziecinnym wydał mi się antagonizm pomiędzy obywatelem Kłeczkiem, a obywatelem Ludomirem, którzy rywalizowali między sobą o zastępstwo sekcyjnego, a więc tytuł „starszego żołnierza", ale sczasem i ja nabrałem ambicji wojskowej i chciałem pomyślnie złożyć egzamin podoficerski.

Musztra, służba wewnętrzna i polowa, organizacja wojska, a nawet nauka o broni szły mi jako tako. Najtrudniejszemi wydawało mi się terenoznawstwo, umocnienia polowe i materjały wybuchowe. Tam, gdzie w grę wchodziła technika i matematyka, czy chemja, tam już nie czułem się mocny. Mimo to z wiosną 1912 r. zdałem egzamin z „kursu niższego", jak się wówczas nazywała szkoła żołnierska i przeszedłem na „kurs średni", czyli późniejszą niższą szkołę oficerską. Czułem się dumny z tych moich „wyczynów" wojskowych.

Wstąpienie do Z. W. C. przyczyniło się do pewnej przemiany wewnętrznej, której ulegałem pod wpływem wyszkolenia wojskowego. Poczułem się pełnouprawnionym obywatelem przyszłego Państwa Polskiego, poczułem się obywatelem-żołnierzem, nietylko tracącym czas na „politykę".

Mimo to nie zaniedbywałem pracy w „Promieniu". W grudniu 1911 r. odbył się III Zjazd „Filarecji" w Krakowie. Brałem czynny udział w organizacji tego zjazdu, jako sekretarz „Promienia" i byłem naturalnie jednym z delegatów na Zjazd. Pisałem sprawozdania ze Zjazdu dla „Naprzodu" i „Głosu" we Lwowie. W Zjeździe wzięli również udział obaj moi bracia: Mieczysław, jako słuchacz Politechniki Lwowskiej jako delegat „Życia", oraz Stefan, słuchacz Wyższych Kursów Handlowych im. Zielińskiego w Warszawie, jako delegat z Królestwa z ramienia Związku Młodzieży Postępowo - Niepodległościowej.

Zjazd zdecydował nazwać zrzeszenie nasze „Unją Stowarzyszeń Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej" (filareckiej) i Zarząd Główny znajdujący się dotychczas w Leodjum pod przewodnictwem Piotra Góreckiego przenieść do Krakowa. Na jego czele stanął po powrocie z Zurychu Tadeusz Szpotański. Wiceprezesem został Kazimierz Sawicki, skarbnikiem Juljan Stachiewicz, sekretarzem ja, a członkiem zarządu — Zygmunt Przybylski, jako prezes „Promienia".

Zdecydowaliśmy ponadto wydawać organ Unji p. t. „Nasza Praca", który miał informować o postępach naszego ruchu. Zabraliśmy się do pracy organizacyjnej i wkrótce „Unja" liczyła blisko 30 stowarzyszeń rozsianych po całej Europie, nie wyłączając Rosji, którą na Zjeździe Krakowskim reprezentował kol. Kazimierz Kamiński („Luboń") z Petersburga.

Praca wojskowa i polityczna pochłaniała mi tyle czasu, że zaniedbałem nieco studja na Uniwersytecie, gdyż, jako słuchacz III roku filozofji powinienem był zabrać się do prac seminaryjnych.

Tymczasem ruch nasz rozwijał się z żywiołową siłą. Stowarzyszenia filareckie istniały w Belgji (Bruksela, Leodjum, Vierviers, Antwerpja, Glons, Mous) we Francji (Paryż, Nancy, Grenoble, Tuluza, Montpellier), w Szwajcarji (Zurych, Genewa, Lozanna, Fryburg, St. Gallen, Winterthur Neufchâtel), w Austrji (Wiedeń, Graz, Praga, Loeben, Przybram), w Niemczech (Lipsk, Tybinga, Monachjum, Frankenhausen), w Anglji (Oxford), w Rosji (Petersburg, Moskwa, Dorpat, Kijów, Charków) oraz w kraju (prócz Warszawy, Krakowa i Lwowa także w Rzeszowie, Złoczowie, Jaśle i Bochni). Tam, gdzie powstała „Filarecja", tworzył się zaraz oddział Z. W. C. legalnie lub nielegalnie. W samym „Promieniu" też było coraz więcej roboty. Wypadki polityczne dostarczały coraz więcej tematów do wieców akademickich,



Przemarsz I Brygady w czasie walk nad Styrem w 1916 r.

nie było bowiem zagadnienia, co do którego ówczesna młodzież akademicka Krakowa, czy Lwowa nie chciałaby się wypowiedzieć.

Wiece kończyły się najczęściej demonstracjami ulicznemi, które nieraz doprowadzały do starć z policją. Pierwszy raz brałem udział w takiej manifestacji, kiedy protestowaliśmy przeciwko aresztowaniu strzelców-królewiaków, których trzymano w więzieniu „Pod telegrafem". Później demonstrowaliśmy spowodu endeckiej deklaracji o zniesienie bojkotu szkół rosyjskich i artykułów przeciwbojkotowych w konserwatywno-ugodowym „Czasie". Ponieważ w Krakowie nie było endeków, więc nasz temperament wyładowywaliśmy na „Stańczykach". Demonstrowaliśmy spowodu uroczystości 300-lecia dynastji Romanowów, w czasie której to demonstracji spaliliśmy portret Mikołaja II na Rynku pod pomnikiem Mickiewicza, co było nawet przedmiotem interwencji rządu rosyjskiego. Demonstrowaliśmy wreszcie spowodu oderwania Chełmszczyzny, wojny włosko-tureckiej, wojny Bałkańskiej i t. p.

Podczas tych manifestacyj nierzadko oberwaliśmy coś nie coś od policji austrjackiej, ale i policjanci mieli nieraz „wbite dekle" na głowy. Kończyło się zwykle wybiciem okien w Dyrekcji Policji lub redakcji „Czasu". Raz nawet pod tą redakcją zostałem zatrzymany przez policję. Jakie nastroje panowały wówczas wśród młodzieży zilustruje rozmowa, jaką miałem z C. K. komisarzem policji. Kiedy spisywano ze mną protokół, komisarz, który uważał że wszelkie „awantury" robią tylko „löstige Ausländer" t. j. królewiacy, „ci z Rosji", jak nas nazywano, nietylko zresztą na policji, zapytał mnie o obywatelstwo. „Naturalnie rosyjskie" mówi C. K. komisarz. Odpowiedziałem stanowczo: „Nie". Uważałem, że jako „dezerter" z wojska rosyjskiego, niemający możności powrotu do kraju, w żadnym wypadku nie jestem już „poddanym rosyjskim". C. K. komisarz, któremu nie mogło się w głowie pomieścić, aby obywatel austrjacki mógł tak „stawiać" się policji zapytał ze złością: „Jakież więc? „Polskie"! — odpowiedziałem bez namysłu. Pan Komisarz oburzony w swej lojalności austrjackiej oświadczył mi kategorycznie, że nie pozwoli na kpiny z siebie i mimo mego oporu wpisał mi, że jestem obywatelem rosyjskim. Kiedy w dwa lata później na Uniwersytecie w Genewie w rubryce „Nationalitè" wpisałem: „Pologne" nie robiono mi żadnych trudności, ale C. K. komisarz „polskiego pochodzenia", który zresztą w kilka lat później był dygnitarzem w służbie administracyjnej Rzeczypospolitej, do tego stopnia był oburzony, że nie mógł mi długo zapomnieć tych „kpin z siebie". Wypomniał mi to jeszcze, kiedy w kilka tygodni później wezwano mnie i Kazika Sawickiego na policję dla „zlikwidowania" całego zajścia. Ponieważ oskarżyliśmy policję publicznie na łamach „Naprzodu" o znęcanie się nad aresztowanymi akademikami, więc C. K. komisarz zaproponował nam „zatuszowanie" całej sprawy i nie kierowanie jej na drogę sądową o ile i my „wycofamy" swoje skargi przeciw policjantom. Ponieważ nie mieliśmy wogóle żadnego zamiaru kierowania sprawy na drogę sądową, więc chętnie zgodziliśmy się na ten „kompromis", a policja poprzestała na wytoczeniu skargi jedynie przeciw kol. Janowi Marciniakowi („Promień"), którego schwytano na gorącym uczynku wybijania szyb w „Czasie".

W ten sposób płynął nam czas na przygotowywaniu się do walki z głównym wrogiem t. j. Rosją i na utarczkach z drugim zaborcą t. j. Austrją. Nadeszły wakacje 1912 r. pierwsze wakacje, które musiałem spędzić „na emigracji". Nie było mowy o tem, abym mógł wrócić do kraju, bo policja ciągle nachodziła mego ojca, żądając mego stawienia się do wojska lub zapłacenia 300 rubli kary, jakie nakładano na rodziców, synów uchylających się od poboru. Spędziłem więc wakacje w Krakowie. Po wakacjach praca nanowo zawrzała w „Promieniu"

i „Strzelcu". W „Promieniu" prezesem został Teofil Wojeński, wiceprezesem Kazik Sawicki, a po mnie ś. p. Tadeusz Hołówko, delegowany z uniwersytetu w Petersburgu, który przeniósł się do Krakowa i znakomicie wzmocnił nasze szeregi. Chociaż mówił źle po polsku, gdyż urodzony i wychowany w Rosji, miał wybitnie wschodni akcent, ale za to mówił tak mocno, tak gorąco, z takiem przekonaniem, że wkrótce stał się naszym najlepszym mówcą. Ja, będąc już na IV roku musiałem wziąć się do roboty nieco. Otrzymawszy od profesora Ignacego Chrzanowskiego temat, studjowałem „Listy patrjotyczne" Józefa Wybickiego i wycofałem się nieco z roboty. W „Strzelcu", gdzie na kursie średnim prowadził teraz ciekawe wykłady ob. Śmigły (Edward Rydz) musiałem także wziąć urlop i przeszedłem chwilowo do „rezerwy". Zatrzymałem jedynie sekretarjat Zarządu Głównego Unji, który mi zresztą wiele czasu nie zabierał.

W „Strzelcu" spowodu konfliktu austrjacko-rosyjskiego rozpoczął się okres intensywnej pracy. Do jesieni 1912 r. „Promień" był ciągle liczniejszy od „Strzelca" rozrósł się do pełnego bataljonu 4-ro kompanijnego, a ilość uczestników roboty wojskowej wielokrotnie stała się wyższa od ilości członków „Promienia".

Powstała Komisja Skonfederowanych Stronnictw niepodległościowych, jako przedstawicielstwo polityczne ruchu niepodległościowego. Obywatel Gustaw (Walery Sławek) montował Polski Skarb Wojskowy. Drużyny strzeleckie, jako organizacja wojskowa ruchu zarzewiackiego uznała wspólną Komendę naszego Komendanta Głównego Józefa Piłsudskiego. Coraz to nowe placówki Związków i Drużyn Strzeleckich powstawały na terenie całej Galicji, a liczebność ruchu strzeleckiego doszła coś do 14 tysięcy członków. Jednocześnie rozszerzał się ruch strzelecki wśród placówek filareckich zagranicą, którą objeżdżał sam Komendant Główny oraz szef sztabu ob. Józef (Kazimierz Sosnkowski), ob. Bohdan wyjechał do Warszawy, aby organizować Z. W. C. w Królestwie, ob. Wicz objeżdżał placówki filareckie Rosji.

Ja, będąc w rezerwie, nie biorę teraz czynnego udziału w pracy. Od czasu do czasu jestem powoływany jedynie na ćwiczenia polowe. Ogólny nastrój oczekiwania lada chwila wojny jakoś nie udzielał mi się wcale. Nie wiem czemu, byłem przekonany że tak, jak w roku 1908 i tym razem do wojny nie dojdzie. To też próbowałem się uczyć. Napisałem wreszcie pracę seminaryjną i od prof. Chrzanowskiego otrzymałem temat do rozprawy doktorskiej. Nawiasem mówiąc prof. Ignacy Chrzanowski, chociaż był odmiennego zdania, swemi wykładami niemało przyczyniał się do wzmożenia ruchu niepodległościowego wśród młodzieży. Prof. Chrzanowski mówił pięknie i zajmująco, budził patrjotyzm młodzieży i pośrednio wpływał na zaangażowanie się w ruchu niepodległościowym. To też wśród jego uczniów, prócz licznych członków „Promienia", jak Adam i Leon Kocowie, Karol Liljenfeld-Krzewski, Bohdan Górski, Stanisław Krawczyk, Maryla Sawicka, Halina Chełmicka, Zofja Kozłowska, Stojan Stefanowski, Teofil Wojeński, Tadeusz Hołówko, Jerzy Winiarz i wielu innych, cały szereg słuchaczy, którzy dotąd nie brali udziału w ruchu politycznym ani wojskowym, zaczęło zgłaszać się do „Strzelca". A więc Jerzy Ferek-Błeszyński, Alojzy Konaś, Alfred Birkenmayer, Stefan Podworski i inni zgłosili się do „Strzelca".

Wstąpili również do „Strzelca" masowo członkowie „Czytelni Akademickiej" (ludowcy) i w charakterze hospitantów członkowie „Zjednoczenia" z Kazimierzem Wyszyńskim na czele.

Atmosfera na Uniwersytecie była coraz gorętsza. Zdarzało się, że wykład czy ćwiczenia na Uniwersytecie nie mogły się odbyć, bo wszys-

W okopach legjonowych pod Konarami.



cy członkowie byli na ćwiczeniach strzeleckich. Prof. Morozewicz, kierownik pracowni mineralogicznej musiał kiedyś zamknąć pracownię, bo wszyscy jego asystenci i słuchacze z Juljanem Stachiewiczem i Tadeuszem Furgalskim „Wyrwą" byli na ćwiczeniach strzeleckich.

Jakkolwiek robota polityczna w roku 1912 nie posuwała się w tem tempie, co robota wojskowa, jednakże rok ten był szczytowym punktem rozwoju filareckiego. Na Boże Narodzenie 1912 r. zwołany został IV Zjazd do Zurychu. Jako delegaci z Krakowa pojechali: Paweł Kittay i ja. Tadeusz Szpotański był już wtedy w Paryżu i stamtąd przyjechał na Zjazd.

Szwajcarja zrobiła na mnie wrażenie, gdyż poraz pierwszy byłem faktycznie poza granicami Polski. Po drodze zwiedziłem Wiedeń i Innsbruck, w Szwajcarji prócz Zurychu zwiedziłem Rappersville i Luzernę.

Zjazd w Zurychu miał doniosłe znaczenie dla ruchu postępowo-niepodległościowego młodzieży filareckiej. Najważniejszą uchwałą było postanowienie, że wszyscy filareci muszą być członkami „Strzelca". Uchwała ta wywołała u nas w „Promieniu" opozycję, która była odpowiednikiem „opozycji P. P. S." reprezentowanej wówczas przez Feliksa Perla (Resa).

Na czele tej „opozycji" stanęli: Teofil Wojeński, Jan Cynarski, bracia Kuczewscy, Dominik Zbierski, b. p. Gustaw Kempner, Artur Maruszewski, ś. p. Kazimierz Czyżewski, a skłonili się ku niej ś. p. Tadeusz Hołówko i Stojan Stefanowski. Z koleżanek popierała opozycję jedna tylko Władysława Weyhert-Szymanowska.

My stanowiliśmy partję „rządową" i przez opozycję nazwani zostaliśmy „militarystami". Na czele partji „rządowej" stał Paweł Kittay, Kazimierz Sawicki, Bogusław Miedziński niedawno przybyły ze Lwowa, Juljan Stachiewicz, Bohdan Górski, a ponadto w razie potrzeby mobilizowaliśmy „strzelców" z Bogusławem Kuncem, Tadeuszem Furgalskim, Adamem Kocem, Władysławem Beliną-Prażmowskim na czele.

Opozycja początkowo była dość łagodna, później przybrała nieco ostrzejsze formy, co jednak nie wpłynęło na stosunki towarzyskie, które zawsze były jaknajlepsze i koncentrowały się koło rodziny Sawickich: Kazimierza, Haliny i Maryli, gdyż Janina po wyjściu za mąż za Witolda Rabka wyjechała do Zurychu, oraz koło rodziny Kozłowskich, z których po wyjeździe Leona do Tybingi pozostały siostry: Bronisława, Zofja i Helena oraz kuzynka ich Halina Chełmicka. Ponadto stale przebywali razem Paweł Kittay, Tadeusz Hołówko, Stojan Stefanowski, Zofja Strzałkowska, Bogusław i Janina Miedzińscy, Czesława Grunbaumówna, Teofil Wojeński, a z młodszych Tadeusz Święcicki, Tadeusz Bajkowski, Marja Bittnerówna, Henryk Kąkolewski, Jerzy Winiarz. Z młodszych jeden tylko Bohdan Górski spowodu kalectwa, nie mógł brać udziału w naszych wycieczkach i spacerach, które odbywaliśmy po zebraniach, na Błonia, na Panieńskie Skały i w swobodnej atmosferze koleżeńskiej, łatwiej dochodziliśmy do porozumienia, niż na oficjalnych zebraniach. To koleżeństwo i zżycie się, jakie cechowało „Promienistych" rozwinęło się później w całej pełni w I Brygadzie, a przedtem jeszcze przeniosło się do „Strzelca", zwłaszcza, gdy została tam zorganizowana sekcja kobieca.

Z końcem letniego semestru zdecydowałem się na wyjazd do Genewy na kurs wakacyjny języka francuskiego przy tamtejszym uniwersytecie. Stamtąd zrobiłem wycieczkę do Paryża do Tadeusza i Ireny Szpotańskich. Spowodu tego wyjazdu straciłem okazję uczestniczenia w kursie „letnim" w Stróży, w którym brali udział wszyscy moi koledzy-strzelcy, wyprzedzając mię tem samem w hierarchji strzeleckiej.

Po wakacjach 1913 r. mając już absolutorjum filozofji, pisałem rozprawę doktorską, wybrany jednak po Kazimierzu Sawickim przewodniczącym „Promienia", musiałem zapisać się na prawo, aby być akademikiem.

Miałem znowu mnóstwo roboty, Prezesura „Promienia", sekretarjat Zarządu Głównego Unji, zwłaszcza, że Tadeusz Szpotański siedział w Paryżu, Zygmunt Przybyliski we Lwowie a Juljan Stachiewicz całkowicie zaabsorbowany robotą wojskową, — pochłaniały mi mnóstwo czasu. Był to okres, kiedy mówiło się o „dynastji" naszej w ruchu filareckim, bo brat mój Mieczysław był wtedy prezesem „Życia" we Lwowie, a Stefan stał na czele roboty w Królestwie, jako członek Centralnego Komitetu Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej w Warszawie.

W „Strzelcu" byłem jeszcze w rezerwie, ale miałem funkcję sekcyjnego w plutonie ob. Andrzeja (Kazimierza Sawickiego) kompanji rezerwowej ob. Pandora (Teodora Furgalskiego). To mi także wiele czasu zabierało, bo jako sekcyjny musiałem zawiadamiać wszystkich członków swej sekcji o ćwiczeniach.

Po przesileniu 1912—13 r. zapał wojenny nieco osłabł. Wprawdzie Komisja Tymczasowa rozwijała czynną działalność, a Polski Skarb Wojskowy gromadził fundusze na przyszłą wojnę, ale liczebność „Strzelca" zmniejszyła się znacznie. Co do mnie, to o ile w ubiegłym roku odnosiłem się sceptycznie do wybuchu wojny, teraz nabrałem przekonania, że wojna zbliża się. W związku z tą pewnością poprosiłem o przeniesienie w stan czynny i wróciłem do Niższej Szkoły Oficerskiej. Komendantem był ob. Karasiewicz (Michał Tokarzewski). Szkoła składała się z dwóch plutonów, komendantem mego plutonu był ob. Antek (Antoni Chamiec). Wykłady prowadził ob. Herwin (Kazimierz Piątek). Odbywały się one w obszernym lokalu „Strzelca" w

Parku Krakowskim, gdzie zwłaszcza na wiosnę warunki pracy były niezmiernie miłe. Poza szkołą oficerską były wówczas trzy kompanje 1-a ob. Stanisława (Pawła Kittaya), 2-a ob. Zbigniewa (Rappaporta) i 3-a ob. Bolka (Władysława Kubali). Komendantem Okręgu był ob. Ryszard (Mieczysław Trojanowski). Okręg dzielił się na szereg obwodów, przyczem komendantem obwodu północno-krakowskiego był ob. Kordjan (Bogusław Kunc).

Praca w „Strzelcu" pochłaniała mi coraz więcej czasu, gdyż poza pracą w szkole oficerskiej zostałem zwerbowany przez ob. Kordjana do pracy w jego obwodzie. Co niedziela wyruszałem więc do wsi okolicznych, jako instruktor. Najchętniej jeździłem w okolicę Kocmyrzowa, gdzie dworzec kolejowy był na samej granicy i mogłem w mundurze strzeleckim poprzez posterunki rosyjskiej straży granicznej rzucić okiem na zakazane dla mnie ziemie Królestwa.

Zająwszy się robotą wojskową musiałem nieco zlikwidować swe prace polityczne. Na semestr letni zrzekłem się prezesury „Promienia", którą objął Bohdan Górski, a po V Zjeździe Unji, który odbył się w Leodjum i na który już nie pojechałem, przekazałem także sekretarjat Zarządu Głównego, który powrócił znowu do Leodjum. Pozostała mi tylko jeszcze redakcja „Nurtu" pisma ideowo-politycznego, które obok „Naszej Pracy" oficjalnego organu Unji wydawaliśmy nieoficjalnie. Redaktorem naczelnym był Tadeusz Szpotański, ja byłem sekretarzem redakcji. Ponieważ Tadeusz był w Paryżu, więc dawał mi tylko ogólne wskazówki, a strona redakcyjna całkowicie mnie obciążała, administrację prowadziła kol. Stefanja Kudelska (Hanna).

Pracę doktorską „O stosunku Niemcewicza do przyszłości narodowej" kończyłem wreszcie, gdyż po wakacjach miałem objąć stanowisko nauczyciela w gimnazjum Tow. Szkoły im. Staszica w Zakopanem. Dyrektorem tego gimnazjum był Ksawery Prauss, który zaangażował mię od 1 września. Nie wiedziałem jeszcze, że wojna te plany moje pokrzyżuje.

Tymczasem robota niepodległościowa rozwijała się. Koleżanki i koledzy wyjeżdżając do Królestwa, zabierali „bibułę", którą dostarczał ob. Gustaw. Od czasu do czasu ktoś „wpadał". A więc wpadł i mój b. szlafkamrat Stefan Rzewuski i skazany też został na 10 lat katorgi ob. Bohdan. Na czele roboty politycznej stał obecnie w Warszawie kol. Włodzimierz (Rajmund Jaworowski), jeden z założycieli „Promienia", który prowadził P. P. S. fr. rew., na czele roboty wojskowej stał ob. Krok (Henryk Roszkowski), robotę niepodległościową wśród młodzieży polskiej szkół akademickich w Warszawie prowadzi ś. p. Mieczysław Marusieński, Zygmunt Mierzejewski, brat mój Stefan i inni.

Tak samo rozwijała się robota niepodległościowa w Rosji, kierowana z Petersburga przez ś. p. Kazimierza Kamieńskiego, ś. p. Tadeusza Hołówkę, który po rocznym pobycie w Krakowie, wrócił do Rosji, Mieczysława Niedziałkowskiego, Marjana Kościałkowskiego i wielu innych, których wówczas nie znałem.

Niezależnie od tej pracy, dla podtrzymania legalnie wydawanych pism: „Runi" w Warszawie i „Głosu Młodych" w Petersburgu, wydawano w Warszawie nielegalnie „Jutro" i kolportowano „bibułę" zza kordonu.

Między innemi i kol. Halina Chełmicka zdecydowała się na przewiezienie większej partji bibuły. Nie zwierzając się przedtem nikomu udała się do ob. Gustawa i uzyskała od niego zezwolenie na swe zamierzenia. Przed wyjazdem jednak prosiła mnie o odwiezienie do granicy. W drodze przyznała mi się dlaczego nie chciała jechać sama. Do Szczakowej udaliśmy się w przedziale II klasy. Droga do Trzebini upłynęła nam bez przygód, gdy dopiero do wagonu weszli jacyś pasażerowie, przybyli od strony Wiednia i rozmawiający między sobą po rosyjsku, obojgu nam zrobiło się nieprzyjemnie, a koleżanka Halina, aby ukryć swe zmieszanie, wyszła na korytarz. Wpadło mi na myśl, aby odegrać rolę rozstających się narzeczonych i w ten sposób pokryć zmieszanie kol. Haliny. Z rozmowy z towarzyszami podróży wynikło, że jest to gubernator z Piotrkowa ze swoją żoną. Wykorzystałem tę wiadomość i w Szczakowej poprosiłem panią gubernatorową o opiekę nad moją narzeczoną. Pani gubernatorowa współczując naszej rozłące obiecała zaopiekować się koleżanką w dalszej drodze, pożegnałem się więc, pewny, że wszystko pójdzie dobrze. Nie przypuszczałem, że żandarmerja na granicy może być uprzedzona przez szpiegów w Krakowie o przewożeniu „bibuły" i że koleżanka „Halina" jest już śledzona od Krakowa.

To też, gdy nazajutrz rano obudziło mnie gwałtowne dobijanie się do drzwi, nie przypuszczałem, że to zwiastunka nieszczęścia kol. Wołkówna, która umyślnie wróciła z granicy, aby nas ostrzec o aresztowaniu Haliny Chełmickiej. Zrobiło to na nas wszystkich duże wrażenie, bo choć siedzieli już w więzieniach strzelcy, poraz pierwszy jednak jedna z najczynniejszych koleżanek „Promienia" dostała się do więzienia.

Aby utrzymać z nią kontakt postanowiliśmy, aby któryś z kolegów Galicjan odgrywał dalej rolę „narzeczonego", którą ja zapoczątkowałem w wagonie. Wybór padł na Ludwika Młynarskiego, pełniącego już funkcję „redaktora odpowiedzialnego" „Naszej Pracy", tak jak Ludwik Strojek był redaktorem „odpowiedzialnym" „Nurtu". Wszędzie bowiem tego rodzaju funkcje musieli spełniać koledzy Galicjanie, bo nam, jako „Obcokrajowcom" niewol-

no było ani wydawać czasopism, ani nawet zwoływać zebrań i t. d. A więc Ludwik Młynarski pisał teraz do Haliny Chełmickiej, a z otrzymanych odpowiedzi dowiadywaliśmy się, co się z nią dzieje

Wypadki jednak toczyły się szybko. Złożyłem pracę doktorską prof. Chrzanowskiemu i powinienem był „siadać do rygorozów". Nie przerywałem jednak prac wojskowych, które mię coraz bardziej absorbowały.

29 czerwca 1914 r. w straszliwie upalny dzień wracałem właśnie z sekcją instruktorską z ćwiczeń strzeleckich Oddziału miejscowego w Toniach, kiedy na obszernej werandzie „Strzelca" w Parku Krakowskim, spostrzegłem grupę oficerów strzeleckich. Oddałem im wraz z całym oddziałem przepisowe honory, ale nikt mi nie odpowiedział. Wszyscy zaabsorbowani byli czytaniem dodatku nadzwyczajnego „Ilustrowanego Kurjera Codziennego" i na werandzie panował zgiełk i zamęt. Zaciekawiony dałem komendę: „rozejść się" i pobiegłem dowiedzieć się, co się stało.

„Jakto?? Nic nie wiecie jeszcze? — zawołano — w Serajewie zamordowano następcę tronu arc. Franciszka Ferdynanda. Będzie wojna! Najpierw z Serbją, a potem z Rosją!"

Dreszcz mię przeszedł, ale nie był to bynajmniej dreszcz trwogi! Wojna! Ileż grozy, ale zarazem i radości brzmiało dla nas w tym wyrazie! Od tylu lat wyczekiwaliśmy, spodziewana upragniona wojna staje się rzeczywistością. Wojna, wojna z Moskalami, w Polsce — wielkie święto!

Płynęły jednak dni, a o wojnie nie było nic słychać. W okresie „tajnej dyplomacji", szły jakieś noty dyplomatyczne, odbywały się gdzieś za kulisami jakieś rokowania, ale szeroki ogół społeczeństwa nic o tem nie wiedział. Dzienniki nie notowały wtedy tego, co się działo za kulisami. Już zdawało się, że nasze marzenia znowu rozwieją się, że znów łudzimy się, jak łudziliśmy się w roku 1912.

Rozpoczęły się wakacje, koleżanki i koledzy rozjechali się do domów. Nie mając dokąd jechać poraz trzeci, pozostałem w Krakowie. Dom akademicki opustoszał. Należało się brać do przygotowania do rygorozów, nie mogłem jednak znaleźć na toczasu. Cały dzień spędzałem w „Strzelcu", nawet kolacje tam jadałem. Jeszcze ostatnie ćwiczenia pod Tyńcem. Ostatni przedwakacyjny wykład Herwina. Żegnał nas, nie przeczuwając, że już nigdy nie powita. Zalecał studjowanie taktyki w czasie wakacji i pogłębianie wiadomości wojskowych. Ostatnie spacery na Błonia, na Panieńskie Skały, na Kopiec Kościuszki. Podczas tych spacerów zwróciło naszą uwagę, jakieś gorączkowe szkolenie żołnierzy austrjackich. A może to się nam tylko zdaje?

Ostatnia zabawa pożegnalna w „Strzelcu", koleżanki się rozjeżdżają, a wśród nich ś. p. Wanda Karśnicka jedzie do Żytomierza, gdzie też w kilka lat później zginęła jako P. O.W-iaczka z ręki bolszewików.

W Krakowie zostało nas niewielu. Spędzaliśmy czas jak kto mógł i umiał, czekając, co czas przyniesie.

Wreszcie wśród ciszy wakacyjnej w ostatnich dniach lipca, jak grom z jasnego nieba uderzyła w nas wieść o ultimatum Austrji skierowanem pod adresem Serbji. Było to przed wieczorem. Szedłem z Kazikiem Sawickim i Januszem Wysznackim przez Rynek. Nawprost Pałacu Spiskiego spotkaliśmy posła Zygmunta Klemensiewicza, który nas o ultimatum zawiadomił. Poseł Klemensiewicz, jak cała zresztą ówczesna P. P. S. Galicji i Śląska, sceptycznie odnosił się do wojny. Mówił o zawieszeniu Konstytucji i o gwałtach żołdackich, o nędzy ekonomicznej, jaka spadnie na kraj, jednem słowem widział wszystko w czarnych barwach.

Odpoczynek w Bogorji (1915 r.).





Przy kuchni na postoju.

My, młodzi, nie podzielaliśmy jego pesymizmu, coprawda nic nie mieliśmy do stracenia, wojny pragnęliśmy z całej duszy, na wszystko patrzyliśmy przez różowe okulary. Wesoło nam było na duszy!

Na mieście znać było wielkie poruszenie. Senny zazwyczaj, zwłaszcza w czasie wakacyj, Kraków ożywił się nagle. Wieczorem ukazał się dodatek nadzwyczajny „Kurjera Codziennego", podający wiadomość o przyjęciu ultimatum przez Serbję. Wiadomość ta zmartwiła nas szczerze, na szczęście jednak nie była prawdziwa.

Wobec tego we trzech z Kazikiem Sawickim i Janem Wysznackim przedefilowaliśmy przez planty, wyśpiewując sobie: „Woinka, woinka to je piękna pani".

Wojna wreszcie została Serbji wypowiedziana i na kilka dni w całej Europie zapanowała cisza, głęboka cisza przed burzą...

Ja tymczasem przygotowałem się do wymarszu na „Szkołę letnią" Strzelca, chcąc powetować sobie nieobecność na zeszłorocznej szkole w Stóży. Szkoła ta miała się odbywać, gdzieś w okolicach Dobczyc, ale wobec rozgrywających się wypadków nic nie było wiadome, co się stanie.

T. ŻENCZYKOWSKI

TRZYNAŚCIE LAT TEMU

Giną powoli w mroku zapomnienia dawne fakty i przeżycia. Pozostają tylko ich fragmenty, pożółkłe fotografje, jakieś papiery... Na podstawie tych wspomnień i pozostałości chcę cofnąć się myślą wstecz o lat trzynaście, by wspomnieć o pierwszym samodzielnym obozie strzeleckim, a raczej grupie obozów, jaki miał miejsce w lecie 1923 roku w Zagórzanach. Dziś, gdy corocznie odbywają się wielkie obozy oficerskie Z. S., gdy szereg innych wykwita białemi płachtami namiotów w rozmaitych zakątkach Polski — wspomnijmy ten okres, gdy Związek Strzelecki był solą w oku olbrzymiej części społeczeństwa, gdy rząd ówczesny odnosił się do niego z wyraźną niechęcią, a poszczególne partje polityczne ostro go zwalczały.

Orzełek i mundur strzelecki był wówczas częstym i jedynym powodem do utraty pracy lub specjalnych szykan i nieprzyjemności. Bez żadnej pomocy z zewnątrz, skazani na własne siły, borykaliśmy się wówczas z przeróżnemi trudnościami i przeciwnościami. Lecz to borykanie się hartowało nasze charaktery, zespalało mocno w jedną zwartą całość organizacyjną i uczyło zawziętej i nieustępliwej walki w imię tych haseł i celów, które serce nasze za najświętsze uznało. Dawało nam ono pewność, że zdobywamy taką siłę i zapał ideowy, jakiego po nas mógł się spodziewać Marszałek.

* * *

Równo w 10 lat po zorganizowaniu pierwszej letniej Szkoły Związku Strzeleckiego w Stróży, Komenda Główna Z. S. powołała do ży-

cia pierwszy, samodzielnie prowadzony obóz, trwający od 1 lipca do 14 sierpnia 1923 roku. Właściwie była to grupa obozów, w skład jej bowiem wchodził obóz strzelczyń (23 uczestniczki) oraz męski podzielony na trzy, różne co do poziomu, kursy, liczące łącznie około 140 uczestników. Obóz męski mieścił się w starym i dość zrujnowanym pałacu hr. Skrzyńskiego w Zagórzanach, położonym w pięknym i rozległym parku.

Komendantem grupy obozów był ob. mjr. Kazimierz Florek (ówczesny Komendant Okręgu Warszawskiego Z. S.). Obóz nasz dzielił się na kurs instruktorski, podoficerski i oficerski, a podział ten odpowiadał obowiązującej wówczas „organizacji personalnej" Z. S., wzorowanej na przedwojennych stopniach strzeleckich. Komendantem kursu pierwszego był przez dłuższy czas ob. Wł. Kosterski — Spalski z Kielc, a szefem kursu przez kilka pierwszych tygodni był niżej podpisany.

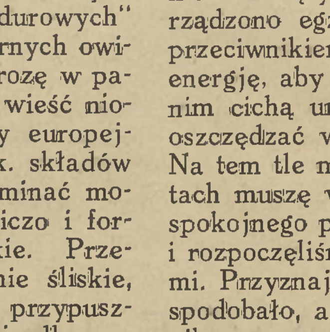
Jak się wyżej rzekło, obóz zorganizowany był całkowicie własnym wysiłkiem, wojsko miało dać tylko pomoc materjałową. Pomoc ta wprawdzie była, lecz stan jej i okres udzielenia pozostawił wiele do życzenia. I tak naprzykład spodnie ćwiczebne i koce nadeszły dopiero po kilku dniach od rozpoczęcia obozu, owijacze i buty — dopiero gdzieś w połowie jego trwania, bluz wogóle nie otrzymaliśmy. Ilustruje to wymownie stopień ustosunkowania się ówczesnych władz do Z. S. Mówiąc o „sortach mundurowych" chcę się zatrzymać na owych koszmarnych owijaczach, które nadługo budzić będą grozę w pamięci dawnych zagórzańczyków. Jak wieść niosła były one jeszcze z czasów wojny europejskiej, wydobyte z zapomnianych c. k. składów austrjackich. Kolorem swoim przypominać mogły wiele rzeczy, aczkolwiek zasadniczo i formalnie miały być stalowo - niebieskie. Przedziwnie były twarde, a jednocześnie śliskie, przytem długością swoją pozwalały przypuszczać, że zrobione były chyba specjalnie dla małoletnich „konusów" — przynajmniej połowie z nas starczały zaledwie do pół łydki. Ostatecznie widok ten możnaby jeszcze uważać za nieco egzotyczny i interesujący, gdyby nie przedziwna ich właściwość ciągłego obsuwania się, dotkliwie zwłaszcza odczuwana w marszach i na ćwiczeniach, gdzie co chwila słowa jędrne i zwarte wydawane przez przygiętą sylwetkę strzelca świadczyły, że zacne owijacze znów się rozwinęły i wdzięcznie się koło nóg pętają.

Ta dłuższa dygresja o owijaczach świadczyć może, jak bardzo się one wśród nas upamiętniły, a jednocześnie wskazuje na sposób naszego wyposażenia, które było conajmniej skromne.

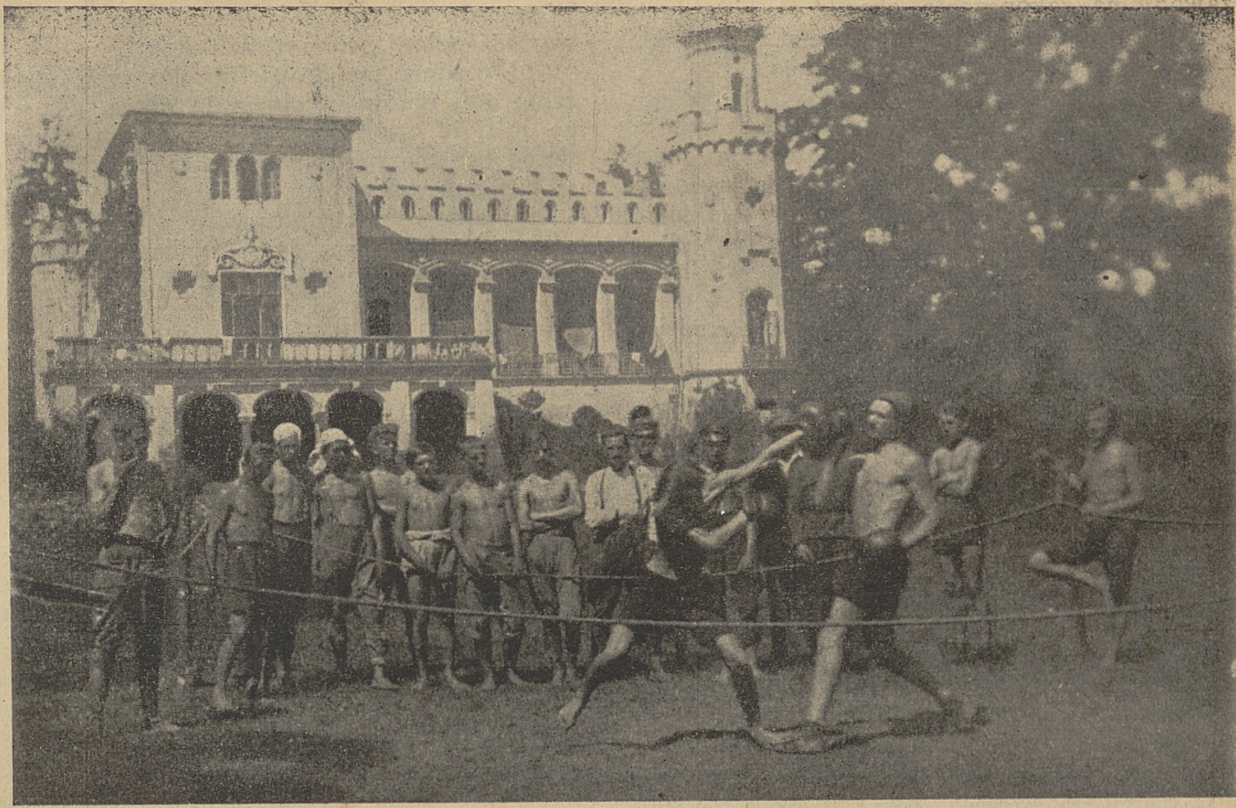
Mieszkaliśmy w zabytkowym pałacu. Wprawdzie nie wiele okien i całych drzwi w nim było, ale zawsze co pałac — to pałac. Pierwszy kurs sypiał pokotem na siennikach w dwóch salkach, dwa pozostałe, jako wyższe miały przywilej sypiania na łóżkach. W głębi parku płynący wartki, górski strumień był naszem kąpieliskiem. Opodal, w ruinach jakiegoś domku mieściły się kuchnie polowe, na działalność, których pamięć moja bynajmniej nie narzeka.

Zajęcia mieliśmy normalne, według dawnych programów obozów p. w., z tem, że sporo godzin poświęconych było wychowaniu obywatelskiemu, które prowadził ob. Boss z Warszawy i gawędom ideowym i organizacyjno - strzeleckim, które zazwyczaj odbywał z kursantami sam Komendant Grupy Obozów ob. mjr. Florek. Dużo uwagi poświęcono wychowaniu fizycznemu i sportom, które prowadził na naszym kursie ob. Parafiński; pamiętamy zwłaszcza dobrze energiczną gimnastyką na polankach parku, każdego ranka przed wczesnem śniadaniem.

Stosunkowo najmniej popularny był boks, mimo, że uczył nas jego tajników pioner tego sportu w Polsce por. Junosza-Dąbrowski. Było kilku zapaleńców występujących chętnie na improwizowanym ringu na trawie, ale większość kursantów wolała „kibicować" i mocnem słowem podniecać walczących. Jednak rękawice i ring nie uniknęły nikogo. Przed końcem obozu zarządzono egzamin, który polegał na walce z przeciwnikiem. Zaczęliśmy wówczas wysilać energję, aby zdobyć sobie partnera i zawrzeć z nim cichą umowę, że wzajemnie będziemy się oszczędzać w czasie tej walki egzaminacyjnej. Na tem tle mam pewien grzech, który po 13 latach muszę wyjawić. Dobrałem i ja sobie dość spokojnego partnera, weszliśmy dzielnie na ring i rozpoczęliśmy energiczne wymachiwania rękami. Przyznaję się, że to mi się nawet wówczas spodobało, a widząc cofanie się mego przeciwnika, zapomniałem o wzajemnym pakcie i kilka razy z entuzjazmem i starannością pomasowałem jego oblicze rękawicą. Szczęśliwie partner mój nie zdążył się odwzajemnić, gdyż w międzyczasie walkę naszą przerwano, uznając egzamin za zdany. Przykro mi, umowę wprawdzie złamałem, ale com sobie machnął sierpowym, tom machnął...



Biednie trochę było w obozie, deszcz nieraz kapał na nos przez dziurawy sufit, ale nastrój na nim był doskonały, prawdziwie strzelecki, okraszony zdrowym i naturalnym humorem. W żadnym może obozie nie słyszałem tyle najróżniejszych piosenek strzeleckich i legjonowych co w Zagórzanach. Były tam i poważne, nastrojowe a melodyjne, były skromne, pełne



Lekcja boksu w obozie strzeleckim w Zagórzanach w 1923 r. W głębi stary pałac A. Skrzyńskiego, w którym mieścił się obóz strzelecki.

werwy i wisielczego humoru, były też. najczęściej śpiewane, własne, obozowe, na poczekaniu komponowane a nieszczędzące żartem ani naszych przeżyć, ani szczerze lubianych władz.

Z Zagórzan utkwiło mi mocno w pamięci jedno przeżycie. Był to drugi dzień po przyjeździe do obozu. Deszcz mżył od rana, nie mieliśmy co robić, zajęć nie było jeszcze więc w braku sienników siedzieliśmy na rozesłanej na podłodze słomie, gdy z tej nudnej zadumy wyrwał kilku z nas służbowy. Kazał nam iść do kuchni i obierać kartofle na obiad. Nigdy dotychczas nie wykonywałem jeszcze tego interesującego i niewątpliwie, wymagającego dużej znajomości rzeczy, zajęcia. To też pot kroplisty zaczął mi w krótce spływać na miętoszony w ręku i bezlitośnie obkrawywany kartofel. Trudno, zupełnie mi nieszło. Więcej kartofla zostawało zawsze przy grubo skrajanych obierzynach niż w ręku. Wreszcie żółć mnie zalała. Porwałem się z kuchni, by odszukać majora Florka (którego znałem jeszcze z Warszawy) i zameldować prośbę o zwolnienie z obozu.

Spotkałem majora na drodze i melduję mu swą prośbę motywując, że nie na obieranie kartofli, a na obóz instruktorski przyjechałem. To były pierwsze moje słowa, później mówił krótko i dobitnie ob. major, a później powiedziałem tylko jedno słowo: „rozkaz" i... truchcikiem wróciłem do kuchni obierać nieszczęsne kartofle. — Do dziś dnia czuję głęboką wdzięczność do ob. Komendanta Florka, że w sposób prosty i żołnierski dał mi lekcję karności strzeleckiej, że jednem zdaniem zwrócił mi uwagę na dyscyplinę i obowiązkowość organizacyjną. I cieszę się, że nikt później nie miał podstaw, aby mi tą, dobrze zapamiętaną, lekcję powtórzyć.

Bardzo prosto, a jednocześnie nastrojowo obchodziliśmy rocznicę 6-go sierpnia. Pobudka alarmowa zerwała ze snu o 1,30 wszystkie trzy kursy, które w deszczową i ciemną noc pomaszerowały szosą, przed siebie. Po chwili, nawprost nas wyłonił się długi cień — to oczekiwał nas w dwuszeregu obóz strzelczyń. Przed front oddziałów występuje ob. mjr. Florek i krótkiem a gorącem przemówieniem zwraca naszą uwagę na podobną noc z przed 9-ciu lat. A później z młodych piersi rozbrzmiewa mocno, potężnie „Pierwsza Brygada" i Hymn Strzelecki. W ciszy ciemnej nocy pieśń brzmi rozległem echem, a w sercach naszych wzbiera jakieś dziwne uczucie, w którem miłość do Komendanta miesza się z namiętną chęcią czynu dla Niego i w imię Jego rozkazów... Komenda zawraca nas do obozu. Wracamy z pieśnią Kadrówki.

Pamięć wydobywa jeszcze pracowicie z pod pyłu zapomnienia kilka większych wymarszów i ćwiczeń polowych, jedną czy dwie strzelnice,

zawody na zakończenie obozu, przyjazne stosunki z organizacjami robotniczemi z pobliskich Gorlic i Glinnika Marjampolskiego...

Rozjechaliśmy się wówczas do swych oddziałów mocniej związani z organizacją, zasobni w dobrze nabyte wiadomości, przygotowani do zażartej i pełnej wysiłku pracy strzeleckiej. Wielu z nas spotykało się później na rozmaitych zjazdach i odprawach związkowych, witając się z braterską radością i wspominając wdzięcznie czasy obozu w Zagórzanach. Zagórzańczyk bowiem wówczas znaczył wiele — słowo to miało wartość pełnej próby strzeleckości.

Nie wiem, czy do wielu z dawnych towarzyszów doli obozowej słowa te dotrą, ale wiem, że jeśli je czytać będą, z radością stanie im przed oczyma obraz z przed lat trzynastu, gdy w ciężkich warunkach Związek Strzelecki siłę i znaczenie swe ugruntowywał. I z radością porównają dzisiejszą jego wielką w społeczeństwie pozycję z dawnemi dążeniami, ciesząc się, że i ich skromny wówczas wysiłek na marne dla Związku nie poszedł.

M. KURLETO

OTWARCIE IGRZYSK OLIMPIJSKICH

(Korespondencja własna z Berlina).

Płyniemy po opuszczeniu S-Bahnu, który nas w kilkanaście minut ze szczerego śródmieścia dowozi daleko poza miasto, wielką falą ludzką, zdążającą już na półtorej godziny naprzód — na swe miejsca w wielkim stadjonie olimpijskim.

Zaraz po opuszczeniu pociągu słyszymy niewidzialnego mówcę, który przez kilka głośników udziela publiczności rad, w jakim kierunku z jakiemi hasłami wstępu należy pójść, że trzeba kupić najlepiej odrazu bilet na powrotną drogę, że nie należy się szwendać przed stadjonem a zaraz zająć swe miejsce...

Poza tą informacją głośnikową, może każdy, całkiem nawet głuchy, odczytać tyle różnych informacyjnych napisów, że nawet w nocy mógłby trafić na swe miejsce!

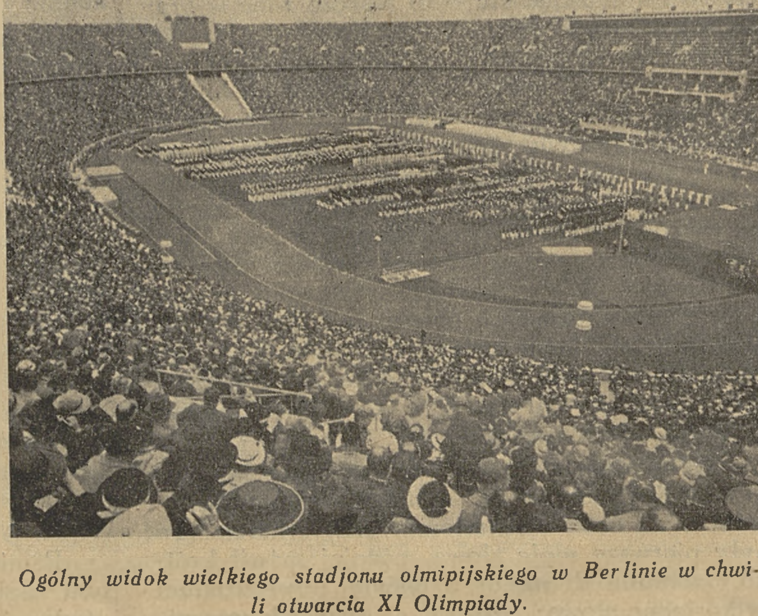
Bilety kontroluje potrójny kordon kontrolerów, kierując odrazu falę ludzką w odpowiednie odcinki stadjonu. Wszystko to dzieje się bez krzyku, ścisku zdenerwowania, można powiedzieć z olimpijskim spokojem...

Jedyne miejsce, gdzie widzimy spocone czoła i karki, gdzie panuje istna prasa ludzka — to, poczta stadjonu. Przy dziesiątkach stolików do pisania, przy biurkach urzędników panuje tłok. To zbieracze marek olimpijskich uparli się wszyscy naraz, by mieć na swych znaczkach pieczęć olimpijską z datą otwarcia Igrzysk! Jutro nie będzie tam już chyba ścisku!

Wchodzimy na stadjon. Jak okiem sięgnąć, olbrzymi owal stadjonu zapchany dokładnie mrowiem ludzkiem. W tej szarzyźnie cudnie odcina się zielone boisko z czerwoną bieżnią.

Różnojęzyczny gwar bije ze wszystkich miejsc. Trzeba mówić grzecznie i przyzwoicie po polsku — bo nie wiadomo, czy najbliższy sąsiad nie jest twoim krajanem. Różne stroje narodowe mogłyby stworzyć istną rewję ubiorów — gdyby je zebrać w jednem miejscu.

Punktualnie o g. 15.48 słyszymy na wieży stadjonu fanfary, a następnie głos dzwonu olimpijskiego. Przybywa kancl. Hitler w otoczeniu międzynarodowego komitetu olimpijskiego. Boiskiem udaje się do swej loży. Zwycięzca biegu maratońskiego pierwszych Igrzysk w r. 1896, Grek Louis, składa do rąk wodza Niemców gałązkę oliwną z terenu pierwszych, Igrzysk. A było to 40 lat temu! Zwycięzca ówczesny dosyć już dzisiaj niezdarnie porusza się w swym na-



Ogólny widok wielkiego stadjonu olmipijskiego w Berlinie w chwili otwarcia XI Olimpiady.

rodowym stroju. Musi mieć pewnie już dobre 60 lat!

Teraz rozpoczyna się najbardziej ciekawa część dzisiejszej uroczystości — defilada uczestników Igrzysk. Otwiera ją — jak zawsze Grecja. Następnie idą po alfabecie według niemieckiej nomenklatury 52 narody! Pochód zamykają gospodarze. Przez szkła lornetki obserwujemy maszerujące narody. Mozaika ras, ubiorów, budowy, egzotyczności... Najegzotyczniejsi z egzotycznych, to Hindusi w jasno-niebieskich turbanach, cudnie kontrastujących z ich dziwnie śniadą cerą.

Polska nie trafiła tego roku dobrze! Cały zapał publiczności niemieckiej skierował się na idącą o dwa miejsca przed nami Austrję. Nic dziwnego. Wszak ostatnie wypadki polityczne mocnego zbliżenia obu państw — nie mogły mieć na stadjonie, innego efektu! Polsce zostały okruchy oklasków. Była nawet jakiś czas denerwująca cisza...

A ziomkowie? Ci byli rozproszeni po całym stadjonie. Tu i ówdzie padł jakiś nieśmiały odosobniony oklask. Nie było dobrze! Przecież, gdyby skupić na stadjonie 1000 rodaków razem — to dałoby się to przeprowadzić. Polskie biura podróży nie zorganizowały rzeczy jak należy i rozsiały może te 2—3 tysiące ludzi z Polski po całym stadjonie. Wśród 100,000 widzów zginęliśmy zupełnie! A były przecież na stadjonie całe „kolonje" narodów — razem zgrupowane!!

Po ustawieniu się wszystkich grup na boisku stadjonu dr. Lewald wita zebranych, a po jego mowie kanclerz Hitler otwiera Igrzyska. Trzech marynarzy wciąga na maszt olimpijską flagę. Teraz nastepuje najpiękniejszy moment otwarcia. Na stadjon po schodach od wschodniej bramy wpada biegacz z pochodnią. Przebiega wzdłuż boiska przed Główną Trybuną, by nad zachodnią bramą stadjonu t. zw. maratońską zapalić znicz olimpijski. Ogień pochodni zapalono przed kilku dniami od słońca, na stadjonie olimpijskim w Grecji i drogą sztafety został przeniesiony do Berlina.

Po ślubowaniu szlachetnej walki olimpijskiej złożonem w imieniu wszystkich uczestników Igrzysk przez zawodnika niemieckiego Ismayera — została zakończona uroczystość otwarcia.

Wieczorem na stadjonie przy świetle dziesiątków reflektorów odbył się pokaz taneczno-gimnastyczny 5 tysięcy młodzieży niemieckiej obu płci — doskonale optycznie pomyślany. Co do jego istotnej wartości możnaby mieć sporo zastrzeżeń.

Za organizację dnia otwarcia Igrzysk należy się Niemcom „piątka z kółkiem".



Polska olimpijska drużyna żeńska gimnastyczna i lekkoatletyczna na dworcu w Berlinie.

WIADOMOŚCI OLIMPIJSKIE

TRIUMF POLSKIEJ SZTUKI SPORTOWEJ.

W ramach uroczystego otwarcia olimpijskiej wystawy sztuki sportowej nastąpiło przyznanie medali olimpijskich w poszczególnych dziedzinach sztuki sportowej.

Polska zdobyła trzy medale olimpijskie. Srebrny medal przyznano p. J. Klukowskiemu za płaskorzeźbę „Piłka". Dwa bronzowe medale zdobyli: Jan Parandowski za książkę p. t.: „Dysk Olimpijski" i St. Ostoja-Chrostowski za dyplom Jacht Klubu, ofiarowany gen. Rydzowi-Śmigłemu.

SUKCES POLSKI NA OLIMPIADZIE TANECZNEJ.

Dnia 31 ub. m. zakończona została w Berlinie Olimpiada taneczna, w której udział brał polski zespół baletowy Parnella i dwie znakomite solistki: Ziuta Buczyńska i Olga Sławska. Jury nie przyznało nikomu pierwszych nagród wręczając wszystkim pamiątkowe medale i dyplomy. Jedynie 10 z pośród uczestników nagrodzono, wzywając ich na scenę oraz wręczając nagrody honorowe. Wśród tej dziesiątki najlepszych zespołów i tancerzy świata znajduje się polski balet Parnella, oraz młoda tancerka polska Ziuta Buczyńska.

Z TYGODNIA

GEN. DR. J. ZAJĄC INSPEKTOREM OBRONY POWIETRZNEJ PAŃSTWA.

Pan Prezydent R. P. mianował w dniu 3 b. m. Inspektorem Obrony Powietrznej Państwa generała brygady d-ra Józefa Zająca .

Prócz tego Pan Prezydent mianował ob. generała bryg. Michała Tokarzewskiego — Karasiewicza Członka Zarządu Gł. Z. S. dowódcą O. K. 6., oraz gen. bryg. Franciszka Kleberga — dowódcą O. K. 3.

WYSTAWA FOTOGRAFIJ MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO W KRAKOWIE.

W połowie sierpnia zostanie otwarta w Krakowie wystawa fotografij Marszałka Józefa Piłsudskiego, organizowana przez zarząd okręgu wojewódzkiego L. O. P. P. w Krakowie. Wystawa mieścić się będzie w salach Muzeum Przemysłowego, przy ul. Smoleńsk. Fotografje, które wystawiono na konkursowej wystawie w Warszawie przywieziono do Krakowa. Przedstawiają one bardzo ciekawy i liczebnie duży zbiór, liczący kilkaset fotografij, obrazujących życie Wielkiego Marszałka.

DOTYCHCZASOWE WYNIKI ZBIÓRKI NA F. O. M.

Do dnia 27 lipca b. r. na F. O. M. wpłynęło już gotówką zł. 373.219,95, a w papierach wartościowych zł. 461,537,25. Jeśli do sum tych dodamy kwotę zł. 3.415,000, przekazaną przez zarząd F. O. M-u do Kierownictwa Marynarki Wojennej na rozbudowę naszej floty wojennej, to łącznie uzyskamy sumę zł. 4.249.757,20 (cztery miljony, dwieście czterdzieści dziewięć tysięcy, siedemset pięćdziesiąt siedem złotych i 20 groszy).

ZAKOŃCZENIE OFICERSKIEGO OBOZU Z. S. W KOZIENICACH.

W niedzielę dnia 2 b. m. odbyło się uroczyste zakończenie Oficerskiego Obozu Z. S. w Kozienicach. Sprawozdanie z powyższej uroczystości podamy w numerze następnym.

RADJO W ŚWIETLICY

(Od dnia 9.VIII do 15.VIII.).

Niedziela — dn. 9.VIII. 9.00 Transmisja nabożeństwa. 14.30 Audycja dla wsi. 17.00 Podwieczorek przy basenie w Ciechocinku. 19.40 Koncert kameralny. 21.00 „Wizja Babuni" — stare melodje. 22.00 Transmisje i wiadomości z XI Olimpiady w Berlinie oraz felieton p. t. „Olimpiada lekkoatletyczna zakończona".

Poniedziałek — dn. 10.VIII. 16.45 „Nieznana harmonja obozów" — pogadanka. 17,20 Muzyka z płyt. 17.50 „Na kaczki" — pogadanka. *19.00 Audycja strzelecka.* 21.0 Koncert orkiestry Marynarki Wojennej. 22.0 Transmisja i wiadomości z XI Olimpiady w Berlinie.

Wtorek — dn. 11.VIII. 16.45 „Jan Zamoyski i bitwa pod Byczyną" — odczyt. 18.0 Koncert z Poznania. 19.00 „O piętro wyżej" — operetka. 21.00 Koncert ork. kameralnej. 22.00 Transmisje i wiadomości z XI Olimpiady w Berlinie oraz feljeton p. t. „Sensacje i ciekawostki olimpijskie".

Środa — dn. 12.VIII. 16.15 Koncert solistów. 19.00 „Amerykański Week-end" — obrazek muzyczny. 21.30 „Przy księżycu" — piosenki i melodje nastrojowe. 22.00 Transmisje i wiadomości z XI Olimpiady w Berlinie. 22.35 Wiązanka przebojów.

Czwartek — dn. 13.VIII. 16.40 „Duch wojny" — odczyt. 17.50 „Korespondencja z letniska". 19.00 Słuchowisko „Podróż w inny świat". 21.00 „Nasze pieśni". 21.25 „Niedziela za drągiem" — audycja muzyczna.

Piątek — dn. 14.VIII. 15.30 Transmisja z Olimpiady w Berlinie — finał jedynek wioślarskich z udziałem Vereya. 16.15 Mała orkiestra — z Łodzi. 17.00 „Akademickie uczelnie prowincjonalne" — odczyt. 19.00 Mozaika muzyczna. 20,25 Transmisja z Salzburga op. „Śpiewacy Norymberscy". 22.35 Transmisje i wiadomości z XI Olimpiady w Berlinie.

Sobota — dn. 15.VIII. 14.30 Audycja dla rolników. 15.45 „Marsze pułków pomorskich" — koncert. 16.25 „Szlakiem zwycięskiej piosenki" — audycja ze Lwowa. 19.00 Koncert orkiestry i solistów. 20.15 Audycja dla Polaków zagranicą „W dni sierpniowe". 21.00 W domu i w wojsku" — koncert. 21.30 Dwa skecze „Zmarnowana kula" i „Tajemniczy supełek". 23.00 Muzyka taneczna.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Leszno 13 m. 8. Tel. 11-73-50 i 11-15-46.
Konto czekowe w P. K. O. 14.785.

WARUNKI PRENUMERATY: **rocznie 15 zł. — półrocznie 8 zł. — kwartalnie 4 zł. Numer pojedyńczy 50 gr. Zagranicą 50% drożej. Zmiana adresu 50 groszy.**

Redaktor odpow. *I. Trętowska.* **Wydawca: *Centralny Instytut Wydawniczy Z. S.***

Druk. „KADRA", Warszawa, Długa 50. Tel. 11-86-30.

DZIAŁ ROZRYWEK

ZADANIE NR. 35. UKŁADANKA Z SYLAB.

Znaczenie wyrazów:

1) Inaczej przedni (stojący w pierwszym rzędzie).
2) Gra świetlicowa.
3) Nauka pisania.
4) Kosztowny
5) Imię żeńskie.

Według podanych powyżej znaczeń, należy napisać 5 wyrazów, których pierwsze sylaby dadzą rozwiązanie. Dla ułatwienia podajemy jeszcze jedną wskazówkę, mianowicie: wyrazy 1, 3 i 5 są czterosylabowe, pozostałe — dwusylabowe

Teraz już chyba nie będziecie mieli Obywatele najmniejszej trudności przy rozwiązywaniu tego zadania i wszystkie odpowiedzi będą napewno prawidłowe.

Jako nagrodę przeznacza Redakcja grę „Szachy Strzeleckie". Termin nadsyłania rozwiązań upływa 22 bm.

NOWINY SPORTOWE

WIELKI SUKCES WAJSÓWNY.

We wtorek dnia 5 b. m. odbyły się na stadjonie olimpijskim dalsze konkurencje lekkoatletyczne.

Specjalne zainteresowanie wywołał rzut dyskiem pań. Do finału dysku pań zakwalifikowała się Wajsówna, która w dalszych przedbojach pobiła rekord polski i olimpijski, uzyskując wspaniały wynik 46,22 mtr., gorszy jednak o przeszło metr od Mauermeyer.. Wajsówna zdobyła zatem srebrny medal olimpijski.

NOJI WCHODZI DO FINAŁU.

We wtorek rozegrano również trzy przedbiegi na 5000 m. W przedbiegu duży sukces odniósł Noji, zajmując trzecie miejsce i kwalifikując się do finału.

WALASIEWICZÓWNA WYWALCZA DRUGIE MIEJSCE.

Na starcie finału na 100 m. pań stanęły: Kraus, Dolinger, Albus (Niemcy), Stephens i Rogers (U. S. A.) i Walasiewiczówna (Polska).

Po zaciętej walce Walasiewiczówna pokonała wspaniałe zawodniczki niemieckie i zajęła drugie miejsce, po Amerykance Stephens, w doskonałym czasie 11,7 sek. (Czas Stephens 11,5).

KUCHARSKI NA CZWARTEM MIEJSCU.

We wtorek rozegrany również został finał biegu na 800 m., w którym startował nasz zawodnik Kucharski.

Początkowo prowadził Woodruff, Kucharski biegnie ostatni, po pewnym jednak czasie wychodzi na trzecie miejsce, a po 150 m. atakuje Woodruffa, który jest na drugiem miejscu pozwalając się wyprzedzić Kanadyjczykowi Edwardsowi. Po 350 m. Polak rozpoczyna atak na pozycję Edwardsa, wreszcie mija go i obejmuje prowadzenie biegu. Po 500 m. z grupy zawodników wysuwa się nagle Włoch Lanci i w szalonem tempie ostatkiem sił mija Kucharskiego. Woodruff nie daje za wygraną, mija Edwardsa, Kucharskiego i Lanciego i wychodzi na czoło biegu.

Po zaciętej walce na finiszu pierwszy przerywa taśmę, Woodruff za nim Lanci, trzeci Edwards, czwarty Kucharski.

NIEPOWODZENIE POLSKICH ŻEGLARZY W KILONJI.

Pierwszy występ naszych żeglarzy w Kilonji na regatach olimpijskich zakończył się wielkiem niepowodzeniem. W biegu yolek osada nasza reprezentowana przez Jensza przyszła na 18 miejscu na 24 startujących.

Gorsi od nas okazali się jedynie Jugosłowianie i Turcy.

W biegu szóstek osada polska w składzie: Sieradzki, Olszewski, Szejba, Łagnowski i Zalewscy, zajęła ostatnie (12-te) miejsce. Pierwsze miejsce zajęła w tej konkurencji osada szwedzka.

DOBRA FORMA NASZYCH KOSZYKARZY.

W meczu treningowym koszykarze polscy pokonali olimpijską drużynę duńską w stosunku 33:27.

Dotychczasowe wyniki spotkań treningowych, dowodzą, że Polacy znajdują się w b. dobrej formie. Niewątpliwie jednak silniejsze od naszych koszykarzy są drużyny Stanów Zjednoczonych i Filipin.

PIERWSZE SPARRINGI POLSKICH BOKSERÓW.

W poniedziałek odbyły się pierwsze sparringi bokserskie. Sobkowiak w walce przez trzy rundy z Rotholcem okazał się lepszym. Rotholc ma jeszcze niewygojoną rękę, co nie pozwala mu na cios o dawnej sile.

Prócz tego sparrowali na zmianę Czortek, Polus i Kajnar. Chmielewski trenował z Pisarskim.

Sparringi naszych bokserów odbywają się w tajemnicy przed światem, przy drzwiach zamkniętych. W podobny sposób postępują wszystkie drużyny. Jedynie Francuzi nie boją się podpatrywania i trenują na publicznej sali.

STRZELEC PRZY GŁOŚNIKU

15 SIERPNIA W AUDYCJACH RADJOWYCH.

Dzień 15 sierpnia 1920 r., kiedy to zbrojne siły polskie pod dowództwem Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego złamały siłę bolszewicką, stanowi epokową datę w dziejach odrodzonego Państwa Polskiego. „Cud nad Wisłą" stał się zwycięstwem opromienionem legendą. Bitwa warszawska powiększyła liczbę bohaterskich zwycięstw polskiego żołnierza i ofiarowała Polsce pokój. W związku z tą uroczystą rocznicą Polskie Radjo nadaje w sobotę, święto Matki Boskiej Zielnej, kilka audycyj okolicznościowych. O godz. 16.10 odczytany będzie wyjątek z książki Józefa Piłsudskiego „Rok 1920". Następnie o godz. 16.25 Rozgłośnia Lwowska powtarza realizowaną już i znaną radjosłuchaczom piękną audycję okolicznościową — „Szlakiem zwycięskiej piosenki". O godz. 18.45 odczyt p. t. „Bitwa warszawska" wygłosi ppłk. Adam Bortkiewicz. O godz. 20.15 audycja dla Polaków zagranicą przypomni naszym rodakom na obczyźnie „Dni sierpniowe".

KTO CHCE JECHAĆ DO JUGOSŁAWJI BIERZE UDZIAŁ W KONKURSIE OLIMPIJSKIM POLSKIEGO RADJA.

XI Olimpiada w Berlinie, w której biorą udział przedstawiciele bezmała wszystkich narodów, stanowi jeden z najbardziej aktualnych tematów, absorbujących uwagę całego świata.

Polskie Radjo, które nadaje w swych programach wielką ilość transmisyj z Olimpiady, oraz szereg feljetonów i wywiadów w związku z Igrzyskami, zorganizowało jeszcze wespół z Polskim Komitetem Olimpijskim — „Konkurs Olimpijski".

Na wstępie zaznaczyć należy, że za audycję olimpijską w Konkursie uważane będą wszystkie audycje sportowe (transmisje, feljetony, pogadanki, wiadomości olimpijskie, recytacje, słuchowiska i t. p.) nadane przez Polskie Radjo w programie ogólnopolskim od dn. 20 lipca do dn. 23 sierpnia.

Sędziami w konkursie będą sami radjosłuchacze, którzy nadeślą odpowiedzi pod adresem: Polski Komitet Olimpijski, Wiejska 11 — Warszawa, zawierające tabelkę trzech, według ich zdania, najlepszych audycyj olimpijskich Polskiego Radja.

Za audycję postawioną na pierwszym miejscu liczyć się będzie 3 punkty, na drugiem miejscu — 2 punkty, i na trzeciem — 1 punkt. Po podliczeniu wszystkich odpowiedzi Komitet Olimpijski ustali, która audycja ze wszystkich nadanych najbardziej radjosłuchaczom się podobała, która zaś z tych audycyj znajduje się na drugiem, a która na trzeciem miejscu.

Szczęśliwy radjosłuchacz, którego odpowiedź będzie odpowiadała tabelce, ustalonej po obliczeniu wszystkich głosów, przez Komitet Olimpijski, otrzyma I-szą nagrodę, którą będzie

wyjazd do Jugosławji.

Gdyby odpowiedzi identycznych było więcej niż jedna, decydować będzie dowcipna, lub też specjalnie pomysłowa forma odpowiedzi. Mogą być również odpowiedzi rysunkowe.

Termin nadsyłania odpowiedzi — do dn. 30 sierpnia. Wyniki konkursu ogłoszone zostaną w dn. 9 września przez mikrofon.

Poza pierwszą nagrodą — wyjazdem do Jugosławji — Polskie Radjo przeznacza dla zwycięzców w konkursie szereg nagród w postaci wydawnictw P. R., jak albumy 10-lecia, „Myśli Wybrane", „A B C Radjosłuchacza" i t. p.

Należy zaznaczyć, że do odpowiedzi winien być dołączony znaczek pocztowy za 50 gr. na rzecz Polskiego Funduszu Olimpijskiego. Ma to na celu zebranie możliwie największej sumy na pokrycie kosztów związanych z Igrzyskami XI Olimpiady.

KONTROLER W POSZUKIWANIU RADJOPAJĘCZARZA.

Ósmą plagą egipską radjofonji są radjopajęczarze. Wiele z tem utrapienia ma kontrola radjowa. Wypada jej po tysiąc razy tłomaczyć ludziom, że gdyby nawet sumiennie i rzetelnie nie słuchali radja, traktowani być muszą jako radjopajęczarze przez samo posiadanie instalacji radjowej w mieszkaniu, choćby nie było odbiornika, choćby tę instalację zakładał kto inny, albo, jeśli nawet niema przewodów uziemienia, czy anteny, ale jest w domu odbiornik radjowy. Takie patrzenie na rzeczy jest zgodne i z logiką i z przepisami; niepodobna przecież przyjmować wszystkiego na wiarę, a niewiadomo, czy ktoś posiadający instalację, czy przewody uziemienia i anteny, nie zechce któregokolwiek dnia sprowadzić do domu aparat i słuchać radja.

W gardle wysycha kontrolerowi od tłomaczenia ludziom, że: **rejestracja abonamentowa obowiązuje każdego posiadacza instalacji radjowej,** bo przecież posiadanie instalacji daje możność korzystania z programów radjowych w każdej chwili. Kto więc w domu — lokator lub sublokator — ma instalację radjową, a zrzekł się abonamentu lub z radja nie korzysta, powinien urządzenie radjowe zdemontować i usunąć z domu, jeśli nie chce narazić się na podejrzenie radjopajęczarstwa.

TAKI, CO LEKCEWAŻY PRZEPISY.

Są radjopajęczarze — lekkoduchy. Wie, że nie można mieć w domu instalacji bez abonamentu, ale powiada sobie: „Mam czas — drobiazg, panie dobrodzieju, niema się z czem śpieszyć". W istocie nieukrywa on niczego w mieszkaniu: słucha radja „na dziewiątkę" przy otwartych oknach i odkłada „przykrości" do następnego pierwszego, albo daje zlecenie komuś z domowników, żeby „załatwił to tam przy sposobności". No i „przy sposobności"... kontroli, wychodzi nieprzyjemność, aczkolwiek facet z gruntu był uczciwy. Jest to typowe lekceważenie przepisów, jak z takim w pociągu, co mając bilet trzeciej klasy, idzie świadomie nocować w klasie drugiej.